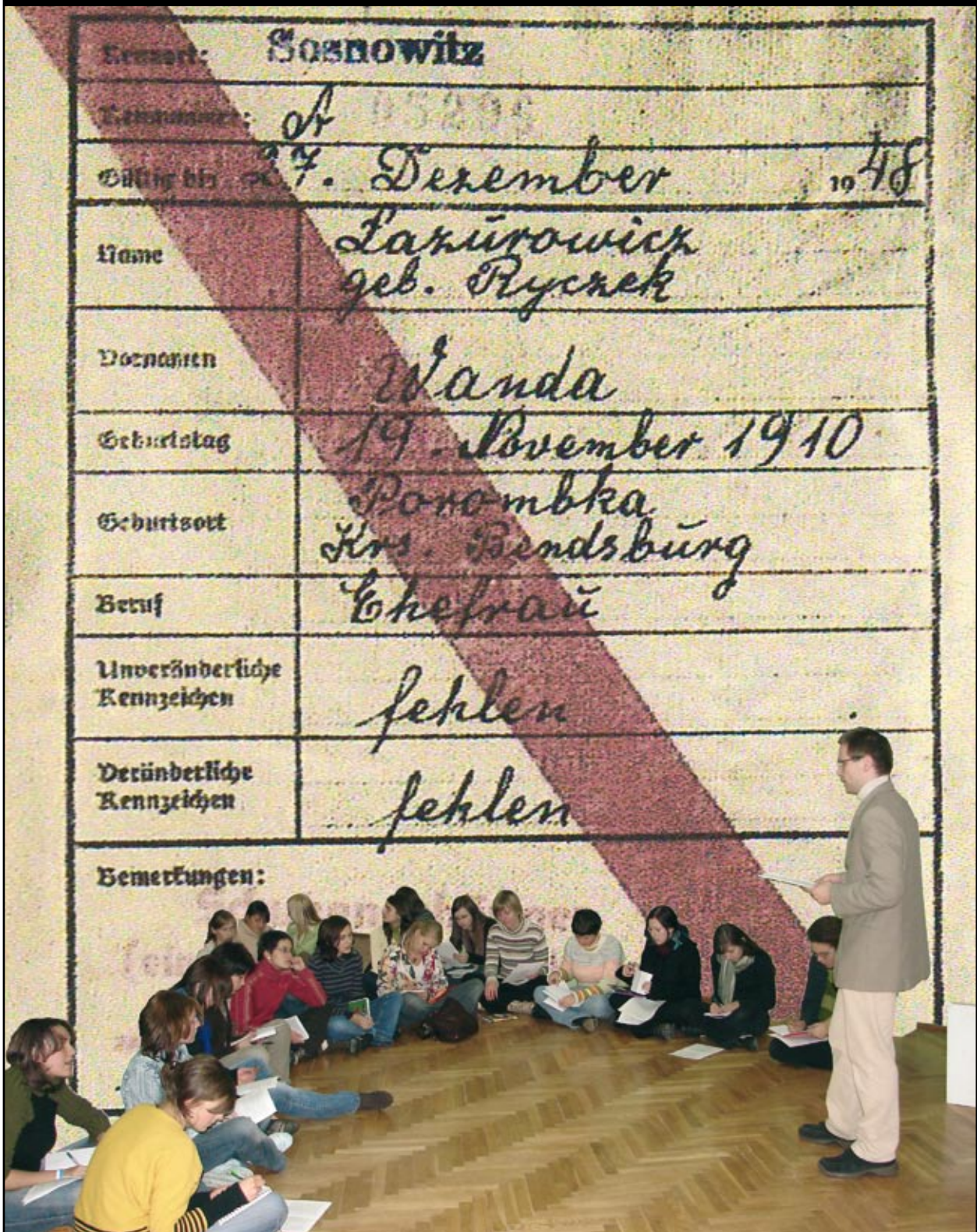


# SIEDLISKO

Dziedzictwo kulturowe i tożsamość społeczności na Ziemiach Zachodnich i Północnych



Prezentowany numer „Siedliska” ma charakter specjalny, stanowi bowiem pokłosie współdziałania Instytutu Zachodniego w konkursie dla młodzieży, o którym dokładnie informuje na wstępie Maria Wagińska-Marzec. Materiały, które spłynęły na konkurs wydawały się nam interesujące i zasługujące na szersze udostępnienie. Pierwsza możliwość, jaka się nasuwała, to przygotowanie i opublikowanie studiów analizujących wypowiedzi nadesłane na konkurs. Zrobimy to w późniejszym terminie. Rozwiązanie to posiada jednak mankament trudny do omińnięcia, a mianowicie giną poszczególni autorzy, zacierają się indywidualne wyróżniki tekstów, znika specyficzny klimat tego rodzaju opracowań. Wydawało się przeto słuszne, żeby na początek dopuścić młodych autorów do głosu i pokazać ich dzieło w integralnej postaci, choć naturalnie w bardzo skromnym wyborze. Kryteria doboru tekstów są zawsze sprawą niezmiernie kłopotliwą i zawsze pozostają skażone mniejsza lub większa dozą subiektywizmu. Zaryzykowaliśmy.

Tekst zakwalifikowany do publikacji musiał spełniać pewne wymogi natury zewnętrznej, cechować się poprawnością językową i w miarę spójną konstrukcją. Chcieliśmy za wszelką cenę uniknąć zbyt rozległych ingerencji redakcyjnych i przywiązywaliśmy duże znaczenie do zachowania autentyczności wypowiedzi młodych ludzi. I rzeczywiście poprawki redakcyjne są minimalne, znacznie bardziej wstrzemięźliwe niż ma to zazwyczaj miejsce. W kilku wypadkach dokonaliśmy nieznacznego skrótu, kiedy autor dość dużo miejsca poświęcał rzeczom powszechnie znanym, co było uzasadnione w pracy na konkurs, ale nie bardzo nadawało się do druku. W gruncie rzeczy tylko sporadycznie ingerowaliśmy w język, chyba że forma gramatyczna była niewłaściwa lub jakieś sformułowanie było niezbyt jasne. Wszystko to były jednak tylko zabiegi kosmetyczne w niczym nie psujące i nie poprawiające urody pierwowzoru. Autorzy otrzymali ostateczny produkt do autoryzacji.

Znacznie trudniejsze było ułożenie tekstów w jakąś sensowną całość; proszę pamiętać, że zostały one przygotowane na konkurs, a nie na zamówienie redakcji. Nie chodziło nam o to, żeby zobrazować konkurs i w miarę wiernie odtworzyć jego plon, lecz o to, żeby wybrać i zaprezentować pewien wątek konfrontacji z polsko-niemiecką przeszłością i teraźniejszością, nie pomijając przy tym marzeń o lepszej przyszłości. Motyw refleksji o lepszej przyszłości pojawia się w każdym tekście, co częściowo stanowi rezultat sugestii organizatorów konkursu, ale nie ma żadnego powodu, aby traktować go wyłącznie jako pochodną nacisku „politycznej poprawności”. W całych materiałach konkursowych nacisk „poprawności politycznej” jest dość łatwo dostrzegalny z wyraźną niestety szkodą dla autentyczności wypowiedzi. Chyba za często zdarzało się, że jedną sztafpę zwalczano inną sztafpą. No, ale to również daje do myślenia.

Staraliśmy się tak dobrać teksty, aby wzięte w całości dawały pojęcie o różnych odcieniach postaw, jakie młodzież zajmuje wobec Niemiec. Oczywiście z góry i bardzo mocno trzeba podkreślić, że w żadnym wypadku nie jest to próba reprezentatywna i że prace na konkurs wysłała specjalna kategoria młodzieży licealnej. Przeglądając te prace nie trudno zauważyć, że poglądy młodych autorów na sprawy niemieckie różnią się przede wszystkim rozłożeniem akcentów i że nie występują między nimi podziały o charakterze zasadniczym, bardzo ostrym. Trochę to zastanawia, że w sumie aż tak zdecydowanie przeważają poglądy mieszczące się w dominującym nurcie teraźniejszej refleksji o Niemczech. Wydaje się, że w związku z tym większego znaczenia nabierają właśnie subtelne przesunięcia akcentów, za którymi mogą się kryć nieco dalej idące różnice poglądów. Warto się temu trochę dokładniej przyjrzeć.

Z.M.

## SPIS TREŚCI

Od redakcji.....	2
Maria Wagińska-Marzec Spotkanie z historią.....	3
Angelika Godlewska, Bartłomiej Zglinicki Polacy i Niemcy – na drodze ku wspólnej przyszłości.....	11
Michał Senejko Polska pod okupacją niemiecką.....	15
Sławomira Grzęda (Wielko)Polska pod okupacją niemiecką.....	22
Anna Wojnerowicz „Czas to ludzie...”.....	26
Joanna Rudzka, Polska pod okupacją niemiecką.....	29
Simona Kociok Wczoraj Niemcy, dziś Ślązacy, jutro Polacy?.....	37
Agata Łysakowska Heimat – moja mała ojczyzna.....	44
Karol Stolarski Miejsce ważne dla Nieców.....	50



PL ISSN 1898-6692

Redakcja: Zbigniew Mazur, Marcin Tujdowski (e-mail: tujdowski@iz.poznan.pl)

Oprac. graficzne: Ewa Wąsowska

Wydawca: INSTYTUT ZACHODNI Adres: Instytut Zachodni, Instytut Naukowo - Badawczy

im. Zygmunta Wojciechowskiego, ul. Mostowa 27, 61-854 Poznań,

tel.: 0 61 852 76 91, fax: 0 61 852 49 05,

Na okładce: lekcja muzealna i kenkarta – kolaż, M. Tujdowski



## Spotkanie z historią

Pomysł zorganizowania konkursu wiedzy historycznej dla młodzieży szkół licealnych w Polsce zrodził się w środowisku warszawskim w roku szkolnym 2002/2003<sup>1</sup>. Jego inicjatorami byli Witold Konieczny oraz Roman Kruszewski, którzy z dużym zaangażowaniem włączyli się w przygotowanie jego pierwszej, a także następnych edycji. Najważniejszym przesłaniem, które im przyświecało, było zwrócenie uwagi młodych ludzi na znaczenie i rolę, jaką w życiu może odgrywać wiedza historyczna, a także uświadomienie młodzieży, że doświadczenia historyczne społeczeństw nie tracą na aktualności mimo upływu czasu. Organizatorom zależało na kształtowaniu świadomości narodowej młodzieży, umacnianiu postaw obywatelskich i proeuropejskich, krzewieniu postaw tolerancji i otwartości na inne doświadczenia i kultury, a nade wszystko na wzbudzeniu zainteresowania problematyką historyczną i zachęceniu młodzieży do samodzielnych poszukiwań badawczych.

Organizatorami konkursu były wydawnictwa: Historia i Życie oraz Wiedza i Praktyka; patronat objęło Polskie Towarzystwo Historyczne; w skład Komitetu Honorowego weszli: prof. Henryk Samsonowicz, ks. dr Wiesław Niewęglowski, dr Stanisław Krajewski, prof. Wojciech Wrzesiński, prof. Andrzej Stelmachowski, prof. Leon Kieres, Jan Nowak-Jeziorański, Dariusz Szymczycha.

Warto przypomnieć tematykę poszczególnych edycji konkursu, aby prześledzić jego ewolucję i przybliżyć zagadnienia, które w danym roku wydawały się szczególnie ważne. Temat I Konkursu dla młodzieży szkół licealnych w roku szkolnym 2002/2003: „Moja mała ojczyzna we wspólnej Europie” został wybrany nieprzypadkowo i miał związek z przygotowaniem do włączenia Polski do Unii Europejskiej (2004 r.) W ten sposób organizatorzy chcieli skierować uwagę młodych ludzi na sytuację społeczeństwa polskiego tuż przed przystąpieniem naszego kraju do struktur europejskich. Chodziło o pokazanie lęków, obaw, ale też oczekiwań z tym związanych. Zamiarem organi-

zatorów było sprowokowanie uczniów szkół licealnych do refleksji i podjęcia próby zwerbalizowania własnych sądów na ten temat. Chciano aby młodzi ludzie uświadomili sobie, skąd pochodzi ich świat wartości społecznych i spróbowali go samodzielnie zweryfikować. Młodzież miała do wyboru siedem tematów szczegółowych: „Co to jest ‘moja mała ojczyzna?’”; „Moje korzenie”; „Migracje (przemieszczenia) ludności”; „Skutki przesiedleń przymusowych (wypędzeń)”; „Wielość kultur w Twoim otoczeniu”; „Wartość podróży”; „Moja miejscowość w Unii Europejskiej”. W odniesieniu do każdego tematu sformułowano zestaw pytań szczegółowych; praktykę tę stosowano również w następnych edycjach konkursu.

Oceniając wyniki I konkursu jurorzy uznali, iż były wysoce zadowalające, chociażby z uwagi na liczbę prac (1265) nadesłanych z całej Polski (głównie z miast średniej wielkości, małych miasteczek i wsi, nieco mniej z dużych ośrodków miejskich, a najmniej z Warszawy). Staranność opracowań świadczyła o tym, że konkurs został potraktowany poważnie. Wielu uczestników stwierdzało, iż był on dla nich okazją do bliższego zainteresowania się historią własnej miejscowości i okolicy, a także historią rodzinną. Wielu przyznawało, że chętnie prowadziło rozmowy w gronie rodzinnym lub znajomych, by pogłębić wiedzę na temat ich doświadczeń w kontaktach z Niemcami, zwłaszcza w okresie drugiej wojny światowej.

Najwięcej uczniów wybrało tematy: „Moje korzenie” oraz „Co to jest ‘moja mała ojczyzna’”, w dalszej kolejności „Moja miejscowość w UE”. Rzadziej sięgano po tematy związane z przesiedleniami oraz wielością kultur. Objętość opracowań była różna, na ogół 8-12 stron, choć zdarzały się też prace liczące 2 lub 42 strony. Uzupełniał je bogaty materiał ikonograficzny (ilustracje, zdjęcia, dokumenty, rysunki), co świadczy o dużym zaangażowaniu licealistów. Do trzeciego etapu przeszło 150 tekstów. Ostatecznie nagrodzono 13 prac: I nagrodę otrzymało 5 prac równorzędnych; II nagrodę zyskały 2 prace, nagrodę III otrzymały 4 osoby i nagrodę IV – 2 osoby. Ponadto 26 osób uzyskało

wyróżnienia. Przyznano również specjalne dyplomy dla nauczycieli za opiekę merytoryczną; otrzymało je pięcioro nauczycieli ze szkół w Łańcucie, Olsztynie, Zabrzu, Górowie Iławieckim oraz Grudziądzu.

II konkurs historyczny z cyklu „Historia i życie” odbył się w roku 2003/2004. Jego temat brzmiał: „Czy potrafimy rządzić się sami? Społeczność lokalna dawniej i dziś”. Formułując ten temat organizatorzy chcieli wzbudzić zainteresowanie „małą ojczyzną” i zachęcić młodzież do odkrywania wartości związanych z kulturą i tradycją społeczności lokalnych. Chodziło o pogłębioną refleksję na temat przeszłości własnego miejsca i własnych korzeni, a zarazem przyszłości regionu. Do wyboru było sześć tematów szczegółowych dotyczących aktywności wspólnoty samorządowej w różnych sferach życia, działalności organów samorządowych, pamięci o zasłużonych dla danego obszaru osobach, stosunku do własnego miasta (wsi); były też tematy dotyczące lokalnych tradycji i stereotypów, pielęgnowania miejscowych zwyczajów oraz kultywowania świąt (kościelnych, państwowych bądź lokalnych).

III konkurs w roku szkolnym 2004/2005 zatytułowano dość prowokująco: „Buntownicy czy konformiści? Doświadczenia pokoleń”. Kluczowym zagadnieniem była wspólnota pokoleniowa. Takie ujęcie tematu miało na celu uświadomienie młodzieży jej roli w aktywnym kształtowaniu historii swej małej ojczyzny, kraju, Europy i świata. Do wyboru było sześć tematów: „Pokolenia w rodzinie”; „Odrębność pokoleń”; „Przeżycia pokoleniowe”; „Grupa pokoleniowa”; „Bunt pokoleniowy”; „Pokolenia: perspektywy i nadzieje”. W ramach tak zarysowanych kwestii podjęto próbę odpowiedzi na pytania: jak tworzy się wspólnota pokoleniowa, co oznacza przeżycie pokoleniowe, czy spór pokoleń jest uzasadniony, na czym polega współistnienie pokoleń (grup pokoleniowych), jak głęboko sięga pamięć pokolenia.

W roku szkolnym 2008/2009 miała miejsce IV edycja konkursu. Do dyrekcji liceów i nauczycieli historii w całej Polsce został rozesłany (styczeń 2009), podobnie jak w latach ubiegłych, list zapraszający młodzież do wzięcia udziału w konkursie. Czytamy w nim m. in. „Pragniemy, aby uczestnicy konkursu spróbowali zdać sobie sprawę, dlaczego dawne wydarzenia powodują urazy i resentymenty, jak można wpłynąć na świadomość żyjących obecnie pokoleń

i jaka jest w tym zakresie rola młodzieży. Pragniemy, aby ze zrozumienia przeszłości wynieśli chęć dyskusji, otwartość na różne opinie i postawę nacechowaną tolerancją”. Do listu dołączono regulamin określający cele i zasady konkursu, formę pracy oraz propozycje tematów szczegółowych (do wyboru). Przedstawiono też jury konkursowe, system oceniania prac, podstawowe kryteria oceny oraz przewidziane nagrody. Ostateczny termin nadsyłania prac upływał z dniem 15 kwietnia 2009 r. Prace konkursowe w roku szkolnym 2008/2009 oceniało jury w składzie: prof. dr hab. Wojciech Łukowski (Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego oraz Wydział Nauk Humanistycznych i Społecznych Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej w Warszawie), dr hab. Zbigniew Mazur (Instytut Zachodni), dr Krystyna Szelańska (Uniwersytet w Białymstoku), red. Wanda Tycner.

Organizatorami IV edycji konkursu byli: Fundacja „Wiedza i Praktyka” (Warszawa) oraz Instytut Zachodni (Poznań). Warto wspomnieć, iż Instytut po raz pierwszy uczestniczył w tym przedsięwzięciu. Partnerami konkursu byli: Wydawnictwo „Wiedza i Praktyka” oraz VNR Verlag für die Deutsche Wirtschaft AG z siedzibą w Bonn. W skład Komitetu Organizacyjnego wchodził: Roman Kruszewski (szef wydawnictwa Historia i Życie), Witold Olejnik (prezes Fundacji „Wiedza i Praktyka”), Maria Prosińska-Jacki, Bianka Siwińska, Ewa Szperlich, Marcin Tujdowski (Instytut Zachodni) oraz red. Wanda Tycner. Funkcję sekretarza generalnego konkursu pełniła, tradycyjnie już, Ewa Szperlich. Patronat honorowy IV edycji Konkursu objął min. Władysław Bartoszewski, pełnomocnik Prezesa Rady Ministrów ds. dialogu międzynarodowego. W poprzednich edycjach funkcję tę pełnił ówczesny Minister Kultury, Waldemar Dąbrowski. Patronat medialny IV Konkursu sprawował miesięcznik „Perspektywy”.

Zaproponowany przez organizatorów temat IV konkursu „Polacy i Niemcy – wczoraj, dziś i jutro” wiązał się ściśle z przypadającymi na rok 2009 obchodami ważnych rocznic w stosunkach polsko-niemieckich. W przekonaniu, iż zrozumienie przeszłości może stać się kluczem do większej otwartości na różne opinie i doświadczenia i może sprzyjać przezwyciężaniu dawnych urazów, organizatorzy chcieli skierować uwagę młodych ludzi na niezwykle istotny

problem wzajemnych powiązań między Polakami i Niemcami zarówno w przeszłości, jak też obecnie, a zwłaszcza na rolę historycznych konfliktów rzutujących w sposób zasadniczy na nowe zagrożenia współcześnie. Mając na uwadze fakt, iż wzajemne relacje między obu krajami zawsze były drażliwe i nacechowane dużymi emocjami, chcieli też skłonić młodzież do zastanowienia się i próby odpowiedzi na pytanie: jak dalece doświadczenia z przeszłości rzutują na kontakty między narodami współcześnie. Chodziło o to, by konkurs stał się bodźcem do nowego spojrzenia na sprawę stosunków polsko-niemieckich oraz przemyślenia kwestii: „jakie są granice tolerancji w sytuacji, gdy toczy się spór o pamięć zbiorową”.

Uczestnicy konkursu mieli do wyboru jeden z czterech tematów: „Polska pod okupacją niemiecką 1939–1945”; „Obraz Niemców w oczach Twojej rodziny i otoczenia”; „Pożegnanie z przeszłością? Kamienie milowe w historii stosunków polsko-niemieckich”; „Ślady pamięci w Polsce: miejsca ważne dla Niemców”. Do każdego z podanych zagadnień dołączono, wzorem lat ubiegłych, zestaw pytań szczegółowych, które miały być pomocne w przygotowaniu koncepcji pracy. Jeśli chodzi o temat pierwszy, to pytania dotyczyły wiedzy na temat okupacji niemieckiej z podręczników i lekcji historii bądź wiedzy z opowiadań i wspomnień bliskich, losów wojennych rodziny, regionu, miasta, wsi, okolic, a także tego, czy ktoś z rodziny lub osób z jej kręgu był więziony w obozie, został wywieziony do Niemiec na przymusowe roboty, brał udział w partyzantce, czy też walczył w Powstaniu Warszawskim. Pytano też o znajomość powojennych losów takiej osoby, o to, czy ktoś z rodziny zginął w wyniku hitlerowskiej eksterminacji, czy w rodzinie przechowała się świadomość i pamięć holocaustu. Nie zabrakło również pytań o wiedzę na bardzo drażliwy temat wysiedleń i przesiedleń związanych z II wojną światową.

W odniesieniu do tematu drugiego należało podać źródła, z których czerpano wiedzę o Niemcach oraz określić, na jakiej podstawie kształtowano stosunek do nich, oraz pokazać, jakie było nastawienie dziadków i rodziców do Niemców. Były też pytania o osobisty stosunek do kultury niemieckiej: czy wydaje się obca, czy bliska, czy istnieje „stereotyp Niemca”, etc.

W opracowaniu tematu trzeciego pomocne miały być pytania w rodzaju: czy zamknąć, czy też pie-

lęgnować wojenno-okupacyjną kartę historii, jak rozumieć należy pojednanie polsko-niemieckie, co było myślą przewodnią listu biskupów polskich z 1965 r., czy oficjalne uznanie granicy na Odrze i Nysie jest w Niemczech powszechnie akceptowane, co sądzić o niemieckich roszczeniach dotyczących majątków pozostawionych w Polsce, jakie zadania stoją przed młodzieżą polską i niemiecką w odniesieniu do kształtowania wzajemnych relacji między obu narodami, etc. Jeśli chodzi o temat czwarty, uwaga uczniów miała się skupić na pielęgnowaniu pamięci historycznej. Należało się zastanowić: czy przeszłość niemiecką na ziemiach polskich należy podkreślać czy zacierać, czy zainteresowanie Niemców swoimi miejscami pamięci jest rzeczą naturalną i godną pochwały, i czy należy to zainteresowanie wspierać, czy jest to dla nas korzystne. Należało też rozważyć, czy Niemcy powinni mieć wpływ na losy tych miejsc i czy powinno się upamiętniać miejsca pracy twórczej niemieckich pisarzy i artystów? Postawiono też pytanie: kto w zasadzie powinien dbać o niemieckie cmentarze?

Zakończenie i uroczysta gala wręczenia nagród uczestnikom IV edycji Konkursu historycznego dla młodzieży szkół licealnych z cyklu „Historia i Życie” w roku szkolnym 2008/2009 miała miejsce w dniu 15 września 2009 r. w Warszawie, w gmachu Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego. Podczas ogłoszenia wyników dało się wyczuć podniosłą a zarazem radosną atmosferę. Oprócz głównych bohaterów, czyli laureatów, w gali finałowej udział wzięli również ich rodzice oraz wyróżnieni przez jury nauczyciele historii, także jurorzy, przedstawiciele komitetu honorowego, sponsorzy i fundatorzy nagród oraz dziennikarze. Z ramienia Instytutu Zachodniego w uroczystości wręczenia nagród laureatom uczestniczyła niżej podpisana. Na sali nie zabrakło też licznych sympatyków całego przedsięwzięcia.

W imieniu organizatorów zebranych gości powitał prezes Fundacji „Wiedza i Praktyka”, Witold Olejnik. Przedstawiając pokrótce ideę konkursu, jego cele i warunki uczestnictwa wyraził słowa uznania za tak duże zainteresowanie młodzieży konkursem. Omawiając pokrótce jego poprzednie edycje oraz instytucje sponsorujące, W. Olejnik podkreślił zarazem wartość merytoryczną zebranego materiału i nadmienił, iż zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami,

wszystkie nadesłane na konkurs prace (nie tylko te nagrodzone) zostaną przekazane do Archiwum Instytutu Zachodniego. Instytut stał się więc depozytariuszem tegorocznych prac konkursowych. Gratulując laureatom w imieniu Dyrekcji Instytutu Zachodniego niżej podpisana zapewniła, iż zdeponowane w archiwum instytutowym prace posłużą historykom i socjologom jako cenny materiał badawczy.

Podczas uroczystej gali finałowej odczytano na wstępie list gratulacyjny min. Władysława Bartoszewskiego, honorowego patrona konkursu, skierowany do laureatów. Zwrócił w nim uwagę, iż nasze obecne życie i nasza przyszłość zależą w dużej mierze od tego, jak postrzegamy historię i jakie wyciągamy z niej wnioski. Zauważył, iż „Obecnie jesteśmy świadkami i często aktywnymi uczestnikami procesu tworzenia nie tylko nowego rozdziału historii w zjednoczonej Europie, ale też prób nowego spojrzenia na naszą wspólną historię w ogóle”. Ważne jest, jego zdaniem, aby wytworzyć pewną europejską świadomość historyczną zawierającą elementy wspólne dla wszystkich. Istotne jest jednak przy tym, aby zbliżenie postrzegania, przekazywania i rozumienia historii odbywało się nie tylko poprzez akcentowanie elementów wspólnych, ale też uwzględnianie istniejących różnic. Oceniając wartość projektów takich jak konkurs historyczny należy mieć na uwadze fakt, iż coraz bardziej dotkliwy staje się problem nieuchronnego odchodzenia naocznych świadków i uczestników wydarzeń najnowszej historii. Europa stoi tymczasem przed zobowiązaniem zachowania pamięci o losach i doświadczeniach odchodzących pokoleń. „Stać się to może – pisał Bartoszewski – wyłącznie poprzez uczynienie ludzi młodych z różnych krajów spadkobiercami historii i zarazem pokojowymi ambasadorami jej różnych wersji, uczestnikami dialogu umożliwiającego wymianę punktów widzenia i w efekcie otwierającego drogę do wzajemnego poznawania”. W jego opinii relacje między narodami mogą się rozwijać jedynie w oparciu o wzajemne poszanowanie, wymianę stanowisk, dyskusje na temat istniejących problemów i wolę szukania kompromisów. Warunkiem zaś dobrosąsiedzkiego współżycia są, jego zdaniem, pamięć i dialog. Ważne zatem, by kraje zjednoczonej Europy mogły i chciały opowiedzieć sobie swoją historię. Jedynie to pozwoli bowiem pokonać istniejącą nadal pod wieloma względami barierę niewiedzy i obcości.

Przewodnicząca jury, dr Krystyna Szelałowska, przedstawiła następnie założenia konkursu i jego wyniki oraz ocenę jury nadesłanych prac. Z jej relacji wynikało, że zainteresowanie konkursem było bardzo duże; w sumie nadesłano 994 prace, a ogółem w konkursie wzięło udział 1270 licealistów (niektóre teksty miały formę opracowań zespołowych i były autorstwa 2-4 uczniów). Większość uczestników zdecydowała się na wybór pierwszego (prawie 500 prac) i drugiego tematu konkursowego (ok. 300 prac). Temat trzeci wybrało 130 licealistów a temat czwarty – ok. 60 osób. Poziom prac był w ocenie jury wyrównany. W konkursie wzięła udział (podobnie jak w latach ubiegłych) zdecydowanie większa liczba dziewcząt (78%) niż chłopców (22%). Na ogół uczestnikami konkursu była młodzież licealna klas I i II. Jeśli chodzi o objętość prac, to najczęściej były to opracowania liczące 5-7 stron, choć zdarzały się też teksty obszerniejsze.

Budujące było to, iż zarówno ze względu na charakter refleksji zawartych w pracach, jak też na starannie przygotowaną szatę graficzną wielu opracowań, widać było, że większość licealistów bardzo serio potraktowała udział w konkursie i poważnie podeszła do postawionego zadania. Wyczuwało się ogromne zainteresowanie II wojną światową i generalnie problematyką stosunków polsko-niemieckich. Temat konkursu okazał się bardzo aktualny i nośny. Na podstawie oceny prac konkursowych można było wysnuć wnioski, iż przeżycia okresu ostatniej wojny nadal stanowią kluczowe doświadczenie społeczeństwa polskiego. Okazuje się, że w wielu pracach starano się wykazać, iż doświadczenia wojny i nienawiści zostały już przezwyciężone i dla obecnego pokolenia Niemcy jako ludzie i kraj nie budzą już takich obaw jak kiedyś. K. Szelałowska zaznaczyła, iż być może nie jest to reprezentatywna grupa młodego pokolenia Polaków, niemniej można zaobserwować swoistą przemianę generacyjną w podejściu do zbiorowej pamięci; ramy tej pamięci wyznaczają obecnie inne, bardziej współczesne wydarzenia i zjawiska.

Mając na uwadze fakt, iż prace na konkurs napłynęły praktycznie z całej Polski, zauważalny był, w opinii jury, wyraźnie „regionalny” podział pamięci o przeszłości. Najbardziej znamienym tego przykładem były prace pochodzące z Opolszczyzny, koncentrujące się przede wszystkim na problematyce mniejszości niemieckiej, obrazujące współczesne



nastroje społeczne i konflikty. Wymowa niektórych prac wskazywała na wyczuwalne napięcie w stosunkach między obu społecznościami. Z kolei prace z Zamojszczyzny skupiały się bardziej na martyrologii okupacyjnej.

W opracowaniach dominowały generalnie dwa nurty w podejściu do historii i relacji polsko-niemieckich. Jeden z nich, to przypomnienie bezmiaru krzywd i okrucieństw doznanych przez większość Polaków podczas drugiej wojny światowej ze strony okupanta (odsetek tych prac był stosunkowo niewielki). Drugie ujęcie, to położenie akcentu na problematykę przebaczenia i „nowego otwarcia” (tych prac było znacznie więcej). W tym wypadku starano się, nie pomijając doświadczeń wojennych i tego co się działo w okresie powojennym, uwypuklić bardziej proces postępującego zbliżania się obu narodów i społeczeństw, znajdujący wyraz chociażby we wspólnych działaniach na forum Unii Europejskiej. Większość młodzieży wyrażała krytyczny stosunek do ujęć stereotypowych, przeciwstawiając temu postawę tolerancji i otwarcia, choć często nie wychodzono jednak poza stereotypy i uprzedzenia, co wyraźnie świadczy o tym, iż ich postawy mają raczej charakter deklaracyjny i liczy się w gruncie rzeczy polityczna poprawność. Jak wynika z lektury prac konkursowych, jeśli chodzi o sprawy sąsiedztwa polsko-niemieckiego, nadal tkwimy bardziej w przeszłości niż we współczesności, choć wyczuwalna była pewna nuta zniecierpliwienia, dlaczego nie można znaleźć punktów zakorzenienia owego wspólnego „tu i teraz” w europejskiej codzienności.

W opinii jurorów konkurs wyraźnie przyczynił się do rozbudzenia refleksji historycznej. Dbałość o zgromadzenie własnego materiału dokumentacyjnego (ankiety, wywiady, relacje etc.) oraz osobisty ton narracji świadczył o tym, że młodzież bardzo emocjonalnie zaangażowała się w pogłębione badania danego tematu. Wielu uczestników konkursu przyznało, że praca nad wybranym zagadnieniem odsłoniła przed nimi „drugie oblicze historii”. Nie były to już dla nich tylko suche fakty, daty, dokumenty, czy beznamietne relacje z wydarzeń, ale dramatyczne losy ludzkie i osobiste tragedie przemawiające w sposób przekonujący do wyobraźni i emocji młodego człowieka. Wszyscy wyrażali zadowolenie, że konkurs stał się okazją do poszerzenia wiedzy o historii, przedmiocie, który

traktowali dotąd na ogół jako „raczej abstrakcyjny”. Niemalże znaczenie miało ożywione zainteresowanie losami własnych rodzin. Niektórzy przyznawali, iż udział w konkursie zainspirował ich do wysłuchania relacji pradziadków i dziadków dotyczących ich przeżyć z okresu wojny i okupacji a także ich doświadczeń powojennych. Starano się też dotrzeć do (często zanikających) świadectw, rodzinnych dokumentów i pamiątek. Dzięki temu udało się nawiązać silniejszą (i być może trwalszą) więź międzypokoleniową. Dzięki temu też młodzież „odkryła” okupacyjną historię własnej rodziny, regionu, miasta. Interesujące były - w opinii jury - prace traktujące o stosunkach lokalnych, w których była mowa o cmentarzach niemieckich, osadnikach, spuściznie po niemieckich mieszkańcach tych ziem oraz staraniach, by ślady przeszłości ochronić jako świadectwo historii.

Jeśli chodzi o ogólną ocenę prac, to w porównaniu z poprzednimi edycjami, były one na wyższym poziomie pod względem zarówno merytorycznym, jak też językowym, aczkolwiek najliczniejszą grupę stanowiły prace na poziomie średnim. Z satysfakcją odnotowano dużo wyższą sprawność językową i bardziej poprawnie konstruowane wypowiedzi. Mankamentem niektórym prac był „nieautentyczny, pretensjonalny styl” zaczerpnięty ze środków masowego przekazu. Nowym problemem, jaki się pojawił w tej edycji konkursu, była kwestia samodzielności prac. Trudność w ocenie niektórych tekstów polegała na obfitym korzystaniu przez młodzież z Internetu jako źródła. Samą umiejętność korzystania z informacji internetowych jury uznawało za pozytywną, pod warunkiem jednak, że nie polega to na kopiowaniu tekstów. Powstają bowiem wówczas prace częściowo lub w całości kompilacyjne, nie samodzielne. Ocena prac była więc niekiedy dość dyskusyjna.

Podczas oceniania nadesłanych tekstów jurorzy dostrzegli też pewien niepokojący sygnał, jakim był niechętny stosunek młodzieży do wiedzy podręcznikowej. Jak wynikało z niektórych wypowiedzi uczestników konkursu, przekaz podręcznikowy jest niedostateczny i jednostronny. Za bardziej wiarygodne źródło informacji o stosunkach polsko-niemieckich uznawano często relacje rodzinne, media, osobiste kontakty z Niemcami. Tak nieufne podejście do podręcznika może, w opinii jury, budzić niepokój, gdyż w wielu kwestiach dotyczących stosunków polsko-



Gala Finałowa konkursu „Polacy, Niemcy - wczoraj, dziś, jutro”

- niemieckich potrzebna jest, zdaniem jurorów, właśnie rzetelna wiedza podręcznikowa.

K. Szelańska zaznaczyła, iż w ocenie prac jury kierowało się surowymi kryteriami. Decydowała przede wszystkim: samodzielność i oryginalność opracowania, własny pomysł ujęcia tematu, przemyślany plan pracy i jego konsekwentna realizacja, a także wykorzystanie literatury przedmiotu i umiejętność sporządzenia bibliografii, jak również dotarcie do lokalnych źródeł historycznych bądź ich samodzielne wytworzenie (np. spisanie relacji, sporządzenie ankiety, etc.) i wreszcie umiejętność wyciągnięcia wniosków.

W finale jury wyłoniło 12 laureatów. I tak I nagrodę otrzymali: Katarzyna Wójcik z Lubaczowa (uczennica profesora Janusza Grechuty z LO w Lubaczowie) oraz Karol Stolarski z Lipna (uczeń profesora Anny Rudzkiej z Zespołu Szkół Technicznych w Lipnie). Oboje wybrali temat: „Ślady pamięci w Polsce: miejsca ważne dla Niemców”. Laureatem II nagrody zostały: Patrycja Góra ze Zdzieszowic i Simona Kociok z Chróstic (uczennice profesora Macieja Skoczylasa z III LO w Opolu), które pisały pracę na temat: „Obraz Niemców w oczach Twojej rodziny i otoczenia”; laureatką II nagrody została również Joanna Rudzka z Lipna (uczennica LO w Lipnie, współpracująca z profesorem Anną Rudzką); temat jej opracowania brzmiał: „Polska pod okupacją niemiecką 1939-1945”. Laureatami III nagrody zostało troje uczniów: Joanna Kisielińska z Opatówka (uczennica profesora Anny Kopeć z II LO w Kaliszu) i Michał Senejko z Kluczy (uczeń profesora

Grażyny Gzyl z III LO w Olkuszu), którzy wybrali temat: „Polska pod okupacją niemiecką 1939-1945” oraz Joanna Oborska z Komprachcic (uczennica profesora Macieja Skoczylasa z III LO w Opolu) za pracę pt. „Obraz Niemców w oczach Twojej rodziny i otoczenia”.

Jury przyznało ponadto pięć wyróżnień. Otrzymali je: Angelika Godlewska i Bartłomiej Zglinicki z Pułtuska (uczniowie profesora Anny Krawczyńskiej z LO w Pułtusku) za pracę pt. „Polska pod okupacją niemiecką 1939-1945”, Sławomira Grzęda z Poznania (uczennica profesora Ewy Pelc z V LO w Poznaniu) za pracę: „Wielkopolska pod okupacją niemiecką 1939-1945”, Artur Kowalczyk z Wrocławia (uczeń profesora Karoliny Stojak-Sawickiej z V LO we Wrocławiu) za pracę pt. „Pożegnanie z przeszłością? Kamienie milowe w historii stosunków polsko-niemieckich”, Agata Łysakowska ze Szczecina (uczennica profesora Edyty Ostapowicz z II LO w Szczecinie) za pracę na temat: „Ślady pamięci w Polsce – miejsca ważne dla Niemców” oraz Anna Wojnerowicz z Cękycyna (uczennica profesora Stefana Nowodworskiego w Tucholi) za pracę pt. „Polska pod okupacją niemiecką 1939-1945”.

Opiekę merytoryczną nad uczestnikami konkursu (bez nadmiernej ingerencji) sprawowało ogółem 385 nauczycieli. Wzorem ubiegłych konkursów wyróżniono tym razem pięcioro nauczycieli. Otrzymali je: Grażyna Gzyl z III LO w Olkuszu, Ewa Pelc z V LO w Poznaniu, Anna Rudzka z Zespołu Szkół Technicznych w Lipnie, Janusz Grechuta z LO w Lubaczowie oraz Maciej Skoczylas z III LO w Opolu.



Uroczystą Galę Finałową uświetnił krótki koncert w wykonaniu uczniów Państwowej Szkoły Muzycznej II stopnia im. Józefa Elsnera w Warszawie. Na zakończenie wszyscy laureaci wraz z wyróżnionymi nauczycielami, jurorami i organizatorami mieli okazję stanąć do pamiątkowego zdjęcia.

Za niewątpliwy sukces konkursu można uznać fakt, iż cieszył się on bardzo żywym zainteresowaniem, co wynika chociażby z liczby nadesłanych prac. Ważne było też to, iż skłonił on młodzież do podjęcia rozmów z rodzicami, dziadkami bądź pradiadkami i zapoznania się z losami rodziny w okresie wojny i okupacji. Dzięki temu mieli okazję do wysłuchania ich relacji i ożywienia wspomnień dotyczących dramatycznych wydarzeń z lat 1939-1945 oraz okresu powojennego. Konkurs stanowił

też impuls do rozmów i dyskusji na ten temat w środowisku szkolnym, w gronie młodzieży.

Warto jeszcze wspomnieć, iż ku finałowi zmierza właśnie V edycja konkursu z cyklu „Historia i Życie”. Konkurs w roku szkolnym 2009/2010 odbywa się pod patronatem honorowym min. Katarzyny Hall oraz min. Władysława Bartoszewskiego, natomiast Patronat Naukowy sprawuje tym razem Instytut Historii Uniwersytetu w Białymstoku. Tematem V edycji konkursu jest „Rzeczpospolita wielu narodów. Dziedzictwo przeszłości, szansa na przyszłość”. Organizatorom chodziło w tym wypadku o położenie nacisku na różnorodność narodową i kulturową, jaka w przeszłości była udziałem naszej tożsamości narodowej. Jednym z założeń tegorocznego konkursu jest, aby młodzi ludzie odkrywając karty historii mieli

Gala Finałowa konkursu „Polacy, Niemcy - wczoraj, dziś, jutro”



Polacy, Niemcy – wczoraj, dziś, jutro”; od lewej: Karol Stolarski, Joanna Rudzka, Anna Rudzka



świadomość, jak wiele różnych wzorców kulturowych wywierało wpływ na współczesny kształt polskości. Przesłaniem tej edycji jest również to, by korzystając z doświadczeń współżycia Polski z mniejszościami narodowymi na przestrzeni wieków i żyjąc obecnie na styku wielu kultur, dobrze spożytkować owo bogactwo. W zapowiedziach konkursu zwrócono uwagę, iż coraz większą wagę przywiązuje się obecnie do regionów pogranicza w znaczeniu geograficznym oraz kulturowym. Coraz częściej też mamy do czynienia ze zjawiskiem poszukiwania własnych korzeni, czego efektem jest odkrywanie odmienności narodowej bądź religijnej i co za tym idzie, duże zainteresowanie ową odmiennością.

Uczestnikom zaproponowano w tym wypadku cztery tematy do wyboru: 1) Unia dawniej i dziś: I Rzeczpospolita i Unia Europejska, 2) Wielość, która wzbogaca? Przemieszczenie kulturowe w dawnej i dzisiejszej Polsce, 3) Obcokrajowcy-imigranci we współczesnej Polsce, 4) Splątane korzenie: zróżnicowane tradycje narodowe w mojej rodzinie i środowisku. W celu przybliżenia licealistom oczekiwań związanych z zaproponowaną problematyką podano tradycyjnie kilka dodatkowych wskazówek merytorycznych i pytań pomocniczych w konstruowaniu pracy. I tak w odniesieniu do tematu I należało porównać oba rozwiązania polityczne w zakresie problematyki związanej z różnorodnością narodową, zastanowić się i podjąć próbę odpowiedzi na pytania: jakie powinno być prawo: zunifikowane czy zróżnicowane, czy powinna obowiązywać wielojęzyczność czy należałoby wprowadzić bariery językowe, czy powinna istnieć otwartość czy hermetyczność kulturowa oraz czy odrębność obyczajów to wyraz tożsamości czy „kulturowa dekoracja”. Należało też przemyśleć problem roli religii w życiu narodów, czy obecnie jest ona tak samo ważna jak kiedyś oraz odnieść się do kwestii: prawa narodowości a prawa jednostki.

Jeśli chodzi o temat II, to należało się ustosunkować do takich kwestii, jak: współistnienie Polaków i mniejszości narodowych (spotkania i zderzenia kultur), a także: stabilność i zmiany w krajobrazie mniejszości od czasów dawnych do współczesnych, wielonarodowe miasta, miasteczka i wsie w dawnej Polsce, mniejszości współczesne z tradycjami sięgającymi daleko w przeszłość, obszary migracji i zasiedleń w okresie powojennym, kultura pogranicza i ludzie żyjący na

obszarach pogranicza oraz czy wielokulturowość jest bogactwem czy źródłem problemów.

W temacie III należało podjąć takie zagadnienia, jak: nowi przybysze (imigracja polityczna, zarobkowa, edukacyjna) oraz ich funkcjonowanie w społeczeństwie polskim (enklawy narodowe, obozy uchodźców, formy zarabkowania, życie religijne i kulturalne, dzieci w polskiej szkole etc.). Należało też spróbować odpowiedzieć na pytanie: co wynika ze zróżnicowania i odrębności kulturowej, a także jakie są płaszczyzny wzajemnych kontaktów, jakie funkcjonują stereotypy narodowe, jaki jest stosunek Polaków do nowych przybyszów, jakie opinie wyrażane są na ich temat w domu i wśród znajomych. Kwestią do zastanowienia jest też: na czym polega w praktyce tolerancja oraz czy w Polsce istnieje rasizm.

W odniesieniu do tematu IV chodziło o zaprezentowanie doświadczeń rodzinnych, wspomnień i pamiątek. Należało zająć stanowisko w sprawie współistnienia różnych opcji narodowych i kulturowych i przedstawić bliskie kontakty z osobami pochodzącymi z mniejszości zasiedziały oraz z nowymi przybyszami (osoby odmiennej narodowości jako nasi krewni, sąsiedzi, znajomi, współpracownicy, uczniowie, koledzy szkolni). Można też było rozwinąć kwestię kultywowania pamięci o odrębności narodowej przodków, troski o materialne ślady przeszłości oraz działań na rzecz kultur zagrożonych, zanikających, odtwarzanych.

Wyniki tegorocznej edycji konkursu zostaną przedstawione, jak co roku, jesienią. Należy się spodziewać, że zainteresowanie konkursem będzie równie duże, jak w latach ubiegłych, a przemyślenia młodzieży na zadany temat równie dojrzałe. Z pewnością konkurs i tym razem spełni swe zadanie, jakim jest zachęcenie młodzieży do pogłębiania wiedzy i refleksji na tematy dotyczące zagadnień historycznych, społecznych i kulturowych. A być może też zainspiruje niektórych do podejmowania własnych prac badawczych w danej dziedzinie.

<sup>1</sup> Omówienie konkursu ukazało się w „Przeglądzie Zachodnim” nr 1/2010. Prezentowany poniżej tekst został zmodyfikowany i uzupełniony o nowy materiał.

## Polacy i Niemcy – na drodze ku wspólnej przyszłości

Polacy i Niemcy ze względu na położenie geograficzne od zarania dziejów są ze sobą nierozdzielnie związani. Współżycie obu narodów nie zawsze układało się jednak pomyślnie. Historia polsko-niemiecka obfituje bowiem w karty tragiczne i niechlubne. Niewątpliwie najczarniejszą z nich była największa tragedia w dziejach – II wojna światowa. Nacjonalizm, dyktatura i nietolerancja doprowadziły do okrutnego konfliktu, szerzenia się nienawiści, zniewolenia masowych zbrodni.

Próbując ocalić od zapomnienia te tragiczne wydarzenia, pragniemy przedstawić wojenne losy naszej rodziny oraz naszej małej ojczyzny, widziane oczami uczestnika tamtych wydarzeń. Nasza babcia, Janina Turek, łączniczka Związku Walki Zbrojnej, później członek Armii Krajowej, podzieliła się z nami swoimi wspomnieniami.

Ukazujemy świadectwo tamtych czasów. Świadectwo, którego próżno szukać w podręcznikach historii. Świadectwo człowieka, który na własnej skórze doświadczył koszmaru wojny. Mamy nadzieję, że lektura naszej pracy stanie się dla Czytelnika wędrówką w najgłębsze zakamarki ludzkiej natury, człowieczeństwa.

Pułtusk położony 60 km na północ od Warszawy nad rzeką Narew, jest jednym z najstarszych miast północnego Mazowsza. Jego strategiczne umiejscowienie na pograniczu Wysoczyzny Ciechanowskiej i Niziny Kurpiowskiej oraz na głównych szlakach komunikacyjnych, zarówno wojskowych, jak i handlowych, sprawiło, że długa, ponad tysiącletnia historia miasta, bogata jest w wydarzenia. Początki Pułtuska sięgają czasów pierwszych Piastów. Prawa miejskie otrzymał on w 1257 roku. Od samego początku Pułtusk był wielokrotnie niszczone w wyniku wojen, pożarów, epidemii i powodzi. Miasto nękały najazdy pruskie, litewskie, jaćwieskie i szwedzkie, następnie przyszły rozbiory, zrywy powstańcze, wojny napoleońskie, a w wieku XX dwie najstraszniejsze w historii wojny

światowe. Za każdym jednak razem nieujarzmione miasto odradzało się na nowo niczym Feniks z popiołów. Dzieje Pułtuska to jednak nie tylko klęski i upadki, ale również błyskotliwy jego rozwój. Od XIII aż do XVIII wieku miasto było rezydencją biskupów płockich. To w Pułtusku znajdowało się również słynne Kolegium Jezuickie, w którym wykładali m.in. Piotr Skarga i Jakub Wujek.

1 września 1939 roku Niemcy hitlerowskie dokonały zbrojnego ataku na tereny II Rzeczypospolitej. Pułtusk, położony niedaleko Warszawy, miał odegrać, w planach polskiego Naczelnego Dowództwa, istotną rolę przedmościa głównej pozycji obrony stolicy przed atakiem wroga. Niestety, miasto nie było przygotowane technicznie i militarnie, by stać się „głównym fortem” obrony Warszawy. Chroniły go bowiem tylko stare umocnienia, których porządkowanie i wzmacnianie rozpoczęto dopiero w lipcu 1939 roku. Za późno podjęto również decyzję o budowie małych betonowych schronów bojowych: do momentu wybuchu wojny ukończono tylko trzy z dziesięciu planowanych.

Dowódca obrony przyczółka Pułtuska we wrześniu 1939 roku był major 13 pułku piechoty Jan Kazimierz Mazur. Pułtusk został zaatakowany w godzinach rannych 6 września 1939 roku. Główną siłą natarcia na miasto stanowiła piechota wojsk niemieckich, silnie wspierana ogniem oddziałów artyleryjskich. Walki trwały przez cały dzień, polskie oddziały dzielnie stawiały opór wrogowi. W nocy z 6 na 7 września siły niemieckie próbowały szturmem zdobyć dojskie do mostu na Narwi, bez powodzenia. Dopiero czwarte z kolei natarcie wojsk niemieckich, rozpoczęte września około 5<sup>00</sup> rano, przyniosło zamierzony skutek. Otoczone i wycieńczone oddziały majora Mazura musiały dokonać odwrotu i pozostawić miasto w rękach wroga. Rozpoczął się najtragiczniejszy rozdział w historii Pułtuska – trwająca aż do 17 stycznia 1945 roku okupacja niemiecka.



Janina Turek, wówczas Kownacka, 1 września 1939 roku miała 15 lat. Przebywała wówczas w położonym nieopodal Pułtusk Gostolinie. Na wieść o wybuchu wojny udała się wraz z ciotkami do Warszawy. Krajobraz ogarniętej wojną stolicy zapadł jej głęboko w pamięci: „Rozbili mennicę, góry pięciogroszówek leżały na ulicach. Ludzie przewracali tramwaje, samochody. Ciągłe naloty, wrzask, krzyk. Jak bomba gruchnęła, to był potworny wstrząs i huk”. Babcia i ciotki postanowiły udać się do podwarszawskiego Wołomina, mając nadzieję, że jest tam bezpieczniej. Nadzieje te okazały się jednak złudne. Gdy Warszawa poddała się, babcia udała się wraz z ciotkami z powrotem do Gostolina, w październiku natomiast powróciła do rodzinnego domu w Pułtusk. To, co tam zastała, nie napawało optymizmem.

Miasto poddane zostało całkowitej germanizacji. Na mocy wydanego przez Adolfa Hitlera dekretu z 8 października 1939 roku o nowym podziale ziem polskich, Pułtusk oraz prawie cały powiat pułtuski został włączony do Regierungsbezirk Zichenau – Regencji Ciechanowskiej. Nazwa miasta brzmiała odtąd Ostenburg – Wschodni Gród. Polskie nazwy ulic zastąpiono niemieckimi. Władzę w powiecie sprawował Kreisleiter z ramienia NSDAP oraz rezydujący na pułtuskim zamku landrat. Dla pułtuszczan szczególnie niebezpieczni byli mieszkający tu od dawna Niemcy, których zwano volksdeutscheami. Jeszcze przed nieszczęsnym rokiem 1939 było ich około dwóch tysięcy i już wówczas sporządzali oni listy, według których władze niemieckie miały dokonywać aresztowań.

Najstraszniejszym narzędziem procesu germanizacji był prężnie działający aparat terroru w postaci rozbudowanego systemu policyjnego. Miał on za zadanie zastraszyć miejscową ludność oraz zwalczać wszelkie przejawy działalności konspiracyjnej ze strony Polaków. W Pułtusk znajdował się posterunek żandarmerii, mieszczący się w budynku obecnego Publicznego Gimnazjum nr 1. Stacjonujący w mieście do 1943 roku zmotoryzowany pluton żandarmerii prężnie walczył z miejscowym podziemiem. Na Alei Wojska Polskiego mieściła się tajna policja państwowa – gestapo. To tu przewożono na przesłuchania aresztowanych z pułtuskiego więzienia. Naczelnikiem gestapo był stary Niemiec Kisling. Za najbardziej okrutnych i brutalnych funkcjonariuszy pułtuskiej placówki tajnej policji uchodzili tłumacz polsko-niemiecki,

student Uniwersytetu Warszawskiego, volksdeutsch Stanisław Schperber, bez litości katujący Polaków oraz zajmujący się rozpracowywaniem pułtuskiego podziemia podoficer SS Helmut Neugebauer, zwany „Stasińkiem”, który, jak wspomina babcia, „Miał psa. Chodził po ulicy i jak ktoś mu się nie podobał, to szczył tym psem.”

Okupanci negatywnie zapisali się w pamięci babci. „Niemcy odnosili się złośliwie i okrutnie, strasznie upokarzali Polaków. Każdy mężczyzna musiał zdjąć czapkę i ukłonić się przed oficerem, a jak nie, to bili. Młodzież nie mogła się zbierać: cztery osoby to już dużo. O porządek Niemcy dbali. Chodzili po domach i jak było nieporządnie, to zlewali lizolem. Bali się chorób zakaźnych.”

Babcia nie zamierzała siedzieć z założonymi rękami. Postanowiła wziąć czynny udział w walce z okupantem. W podziemiu, jak wspomina, znalazła się przypadkiem. „Pracowałam w olejarni. Obok, przy ulicy Rynek 13, był sklep, należący do Henryka Bobowskiego, sekretarza sądu, który zwerbował mnie do organizacji podziemnej. Organizacja ta nazywała się Związek Walki Zbrojnej”. Przez kolejne trzy miesiące babcia przechodziła szkolenie, odbywające się w pogodne dni w położonych nieopodal lasach. Przysięgę złożyła 15 stycznia 1940 roku na ulicy 3 Maja przed dowódcą pułtuskiego ZWZ, podporucznikiem 13 pułku piechoty Bolesławem Nodzykowskim ps. Mały.

W skład oddziału babci wchodziło pięć osób: dowódca Henryk Bobowski, Klemens Bartkowiak – urodzony w Poznaniu, wychowany w duchu niemieckim, uczciwy Polak, urzędnik skarbowy, Józef Kiela – rolnik spod Obrytego, Wanda Bigoszevska – pracowniczka banku komunalnego oraz babcia, która, jako najmłodsza i mająca „najwięcej sił w nogach”, została łączniczką: „Chodziło się do Pniewa, gdyż tam była stacja graniczna, z tamtej strony, z Generalnej Guberni, przychodziły rozkazy i informacje, które odbierały łączniczki. Dostawałam bibuły, które trzeba było przepisać ręcznie, a później zanieść do wyznaczonych w mieście punktów kontaktowych. Były one przeważnie w sklepach, do których mógł wejść każdy. Bibuły, które odbierałam w Pniewie w wyznaczonym wcześniej miejscu, a był nim stary młyn, do którego udawałam się pod pretekstem kupna mąki, zawierały wiadomości m.in. o posunięciach armii niemieckiej, stratach wojsk hitlerowskich i polskich. Po te infor-

macje chodziłam dwa razy w miesiącu. Za każdym razem przynosił je z Generalnej Guberni kto inny. Tak więc, nie znaliśmy się nawzajem.”

Działalność całej grupy babci polegała przede wszystkim na przekazywaniu wiadomości, kupowaniu najpotrzebniejszych rzeczy, bandaży, żywności, i zawożeniu ich do lasu, w którym ukrywali się partyzanci. O przynależności do podziemia nikomu nie wolno było mówić. To była żelazna zasada: „Nikom nie mówiliśmy o naszej przynależności – najpierw do ZWZ, później do Armii Krajowej. Nawet moi rodzice nie wiedzieli, że należałam do podziemia... W organizacji posługiwaliśmy się pseudonimami. Mój pseudonim to »Dorota«. Tylko dowódca oraz my sami znaliśmy swoje imiona i nazwiska. Do siebie zwracaliśmy się po imieniu, ale poza grupą używaliśmy tylko pseudonimów. Niestety, pewnego dnia Klemens Bartkowiak wydał nasze nazwiska w rozmowie z Polakiem urodzonym w Stanach Zjednoczonych, który okazał się szpiegiem niemieckim”.

W lipcu 1940 roku babcię zabrano na przesłuchanie do kwatery głównej gestapo w Pułtusku. Przesłuchi-



Dawna cela więzienna w Pułtusku.

wał ją Kisling, ale, jak wspomina, „...choć to był wróg, postąpił z nami uczciwie, bo on ani jednego podczas śledztwa nie uderzył, nie uderzył nikogo”. Przesłuchania prowadzone były w języku niemieckim. Pytania tłumaczył Schperber. Babcię pytano o to, co znajdowało się w gazetkach, kto należał do podziemia: „Wszystkiego się wypierałam. Ojciec powiedział mi, że wszystkiego mam się wypierać, choćby nie wiem co. Bartkowiak nie wiedział, gdzie znajdowała się maszyna do pisania, na której sporządzano gazetki. Tak, więc gestapowcy mordowali nas głównie o tą maszynę do pisania” – wspomina.

W 1941 roku babcia trafiła do pułtuskiego więzienia. Spędziła w nim dziesięć miesięcy. „Przyszli po mnie o 2<sup>00</sup> w nocy i zabrali na zeznania. Nie przesłuchiwał mnie już Kisling, tylko Schperber. On nas bił, był bardzo ostry. Z kwatery gestapo przewieźli mnie do więzienia. Oficjalne oskarżenie brzmiało: »wróg Niemiec, bandyta«. Zapytana o wspomnienia i o to, jak wyglądało życie w więzieniu, babcia opowiada: „Najgorsze było pierwsze wrażenie jak się weszło, taki człowiek młody, zбитy i ten klucz tak zgrzytnął i... koniec pieśni (...) W więzieniu się nie siedziało, trzeba było pracować, sprzątać korytarze, cele, obierać kartofle. (...) Pewnego dnia przyszedł oficer niemiecki i poprosił oddziałową, by dała cztery na sprząkanie. Kazał wziąć cegły i szmaty do kościoła św. Józefa. Otworzyli kościół, od wielkiego ołtarza do drzwi stały skrzynki z amunicją, kozły z bronią i beczki z paliwem. Miałyśmy wyczyścić te beczki na błysk. Trąc cegłę o cegłę, wytwarzałyśmy proszek i tym szorowałyśmy beczki. Ja miałam czyścić tą przy ołtarzu. Przeżegnałam się. Niemiec uderzył mnie w twarz i krzyknął: „Was hast du gemacht?“ Ze złości wyrwał broń z bagnetem z kozła i pociął obraz na ołtarzu. (...)”

Oddziałowa przenosiła mnie z celi do celi. Sama siedziałam dwa tygodnie. Myślałam, że czekam na śmierć. Chciałam się powiesić. W celi był stolik, w kobiecym oddziale było zakratowane okienko nad drzwiami. Przystawiłam stolik, ręcznik zawiesiłam na tą kratę i na szyję. Chciałam to zrobić, bo ciągle w więzieniach mówiło się o rozstrzelaniach, obozach. Zaczęłam się modlić, oddziałowa chciała wejść do mojej celi. Zaczęła krzyżeć. Za karę dwie godziny klęczałam. Przeniosła mnie do celi z innymi i kazała pilnować.

Byłam w celi ze starszą Panią Henryką Sokolnicką, którą Niemcy ścieli na gilotynie w Królewcu - za to, że wykopali na terenie jej majątku starą broń z 1914 roku. (...)

O 6<sup>00</sup> rano była pobudka i śniadanie, które przynoszono do celi - kawał suchego razowego chleba i czarna kawa. W zimie to jeszcze jakoś smakowała, można się było ogrzać, w piecu paliło się co drugi dzień i ogrzewał on dwie cele. Dostawałyśmy tylko cztery kawałki węgla... szron po ścianach się skrobało (...) Spałyśmy na pryczy, w której zamiast siana była sieczka i w której gnieździły się wszy, pchły, pluskwy, wszystko... Po południu były roboty. Na obiad chochelka zupy (brukiew, buraki z ziemniakami). Podczas obiadu strasznie bili mężczyzn, tłukli ich tak, że nie wiem...."

W więzieniu wykonywano również wyroki na więźniach. Babcia szczególnie zapamiętała egzekucję burmistrza Pułtuska, Zabokrzyckiego: „Wtedy, to nas wszystkich spędzili do okien więziennych. Taka była piwnica, do której prowadziło zadaszone wejście. Wyprowadzili go z tej piwnicy, kazali mu wejść na daszek i gołymi kolanami na tłuczoną do spacerowania cegłę zeskakiwać. Patrzyliśmy i nic nie mogliśmy zrobić, nic... Jego straszliwie mordowali, później go wywieźli i zabili.”

Niemcy stosowali sprytnie metody, by dowiedzieć się od więźniów, kto jeszcze mógł należeć do podziemia: „Do tego stopnia chcieli dowiedzieć się, kto należał do naszego podziemia, że pewnego dnia, gdy jeszcze nabożeństwa odbywały się w szkolnym kościele, przyszło po mnie do więzienia dwóch gestapowców, którzy zabrali mnie, ku mojemu zdziwieniu, nie na gestapo, ani na żandarmerię, tylko na nabożeństwo. Szłam ulicą, głowę spuściłam, aby nikt mi się nie uklonił. W kościele także udawałam, że nikogo nie znam. Niemcy chcieli bym wskazała kogoś, kto mnie zna, by móc go później przesłuchać”.

Babcia opuściła pułtuskie więzienie w 1941 roku. Nie mogła jednak jeszcze powrócić do domu: „Oddziałowa powiedziała: »Jesteście zwolnione, ale niby zatrzymane, jeszcze pojedziecie gdzieś.« Pojechałam z żoną Bartkowiaka i jeszcze jedną kobietą. Miałyśmy jechać do Berlina. Konwojował nas sam szef gestapo Kisling. Mieszkał w Monachium. Miał trochę serca. Z Nasielska do Berlina to kawał drogi, a jako polskie więźniarki powinnyśmy stać razem skute. Poprosił

innych Niemców, żeby chociaż pozwolili nam usiąść na swoich walizkach. Opiekował się nami. Zanim zaprowadził nas do więzienia, pokazał nam metro, ruchome schody, pokazał trzy siedziby Hitlera. To był maj. Berlin wyglądał ślicznie, był piękny. W końcu do więzienia. Było ono w podziemiach. Rozłączyli nas tam, dwa tygodnie czekałam na sprawę. Wchodząc na salę sądową, okropnie się przeraziłam. Czarna sala, obita czarnymi dechami. Za stołem sędzia w czerwonej todze, wyglądający jak kat. Przywieźli tylko Bartkowiaka z obozu. Bigoszewską już w obozie Mauthausen osądzili. Bobowskiego przywieźli z Gusen i Kielę z nim. Po tej sprawie Niemcy tamtych skazali na pięć lat do obozu, Kielę na dwa lata, a mnie zwolnili do domu. Bo ojciec miał ziemię koło ważnego Niemca. Pewnego dnia coś temu Niemcowi się popsuło i zapytał się ojca, czy pomoże. Tata wypytał się go o mnie. Gdzie jestem, czy w więzieniu. Gdy dowiedział się o sprawie, to przekupił go i mnie wypuścili.

Po powrocie z więzienia, gdy wróciłam do domu, pewnego dnia przyszedł do nas pułtuski sędzia z nakazem, abym stawiała się do niego do pracy. Musiałam iść na służbę i podawać Niemcom do stołu. Nie wolno mi było jeść, dopóki nie pokazałam moich kartek na żywność. Któregoś dnia uciekłam i ukrywałam się przez pół roku. Udało się wręczyć w Arbeitsamt, niemiecki urząd pracy, łapówkę, skreślili mnie z listy i dali spokój.”

W 1942 roku babcia wstąpiła w szeregi Armii Krajowej i należała do niej aż do 17 stycznia 1945 roku, a więc do dnia, w którym do miasta wkroczyła Armia Czerwona: „Dalej pracowałam dla ojczyzny, ucząc dzieci, bo to potrafiłam, miałam ich czworo. Żyje jeszcze dwoje. Codziennie bałam się, że znowu zostanę aresztowana i teraz to będzie już koniec, bo Niemcy by tego już nie darowali.” Na szczęście wszystko skończyło się dobrze.

Wśród straszliwych wydarzeń okresu okupacji niemieckiej miał też miejsce epizod pozytywny. W 1944 roku babcia wzięła w Gołyminie cichy ślub z tamtejszym kowalem, swoim obecnym mężem.

Po wojnie babcia zamieszkała wraz z mężem w Pułtusku. Swoim poległym kolegom z podziemia oddała hołd, biorąc „czynny udział przy każdej tablicy i pomnikach upamiętniających pułtuskie bohaterów. W każdym jest moja myśl i praca”. Sama została odznaczona krzyżem „Za zasługi dla miasta Pułtuska”.



Wybitny starożytny mówca rzymski, Marcus Tullius Cicero, napisał: „Historia magistra vitae” – „Historia nauczycielką życia”. Tragiczne wydarzenia z przeszłości, ciągle żywe w pamięci ich świadków, powinny stać się przestrogą dla przyszłych pokoleń. Katastrofa wojny i okupacji, bezmiar ofiar, tragedii i cierpień, winna stanowić dla Polaków i Niemców lekcję współistnienia. Niezbędne jest przewyciężenie fatalizmu wrogości,

urazów i uprzedzeń w celu ukształtowania trwałej polsko-niemieckiej wspólnoty interesów.

Niech mottem, towarzyszącym nam w budowaniu tej wspólnoty, będą słowa świadka historii, Janiny Turek: „Taka to była moja młodość. Strach, niepewność jutra. Przeżyłam. Wy młodzi kochajcie Ojczyznę i cieszcie się wolnością.”

MICHAŁ SENEJKO

## Polska pod okupacją niemiecką

Temat okupacji niemieckiej w latach 1939-1945 znałem z podręczników i lekcji historii. Wydawało mi się, że moja wiedza na temat II wojny światowej jest wystarczająco dobra. Rozumiałem tragedię września, którą w sposób szczególny odczuło społeczeństwo polskie, ponieważ zostało oddane w niewolę najbardziej brutalnej tyranii. Wiedziałem ogólnie, że po krótkotrwałym szoku społecznym spowodowanym klęską, Polacy podjęli próby zmierzające do czynnego sprzeciwu hitlerowskiemu najeźdźcy i odzyskania niepodległości.

Postanowiłem bliżej zapoznać się z historią okupacji niemieckiej rozpoczynając od mojej najbliższej rodziny.

Okazało się, że po wnikliwym przeanalizowaniu tematu konkursu inaczej spojrzałem na wydarzenia II wojny światowej. Informacje z podręczników do historii odbierałem tylko jako „suche” daty, fakty i wydarzenia. Dopiero po wysłuchaniu opowieści mojego dziadka i wujka, wniknięciu w wydarzenia i przeżycia ludzi związanych z okupacją niemiecką w moich rodzinnych stronach, odwiedzeniu miejsc tamtych wydarzeń, wertowaniu dokumentów, zdjęć i książek zrozumiałem, że przeżyłem najlepszą lekcję historii, która na zawsze pozostanie w mojej pamięci. Lepiej zrozumiałem losy bliskich i dalekich - nie wiedzieć czemu przemilczane przez wiele lat. To dzięki temu konkursowi przeniknąłem temat okupacji niemieckiej - niby tak oczywisty, a jednak mało znany. Dowie-

działem się o rodzinnym dramacie. Wiedziałem tylko, że mój pradziadek Bogusław Lazurówicz przebywał w obozie jenieckim w Niemczech podczas II wojny światowej. Teraz znam całą historię z opowiadań mojego dziadka Mariana Lazurówicza, który nigdy nie wspominał okupacji niemieckiej, bo nie pytałem! Teraz wiem, że nie starał się o żadne odszkodowania z braku dokumentów o wydarzeniach z lat wojennych i powojennych.

Mój pradziadek Bogusław Lazurówicz urodził się 4 listopada 1910 roku w Sosnowcu (z zawodu był piekarzem). Rodzice mojego pradziadka to Antoni Lazurówicz i Elżbieta z domu Stopieńka. Bardzo wczesnie osierocili swoje dzieci - zmarli w 1919 r. na tyfus, a 9-letni pradziadek poszedł do pracy u piekarnika i tam zdobył kwalifikacje, aby później w wieku dorosłym otworzyć własną firmę. Służbę wojskową odbył w latach 1932-1934 we Lwowie. Związek małżeński zawarł 13 kwietnia 1936 roku z Wandą Ryczek, a w roku 1939 dnia 12 lutego przyszedł na świat mój dziadek - Marian Bogusław Lazurówicz.

W 1939 r. mój pradziadek Bogusław Lazurówicz został wcielony do Wojska Polskiego. Jego oddział został skierowany do ochrony granicy w rejonie Pszczyzny na Śląsku. Przeglądając encyklopedię II wojny światowej dowiedziałem się, że była to VI Dywizja Piechoty, która należała do grupy Operacyjnej Śląsk i wchodziła w skład Armii Kraków. Oddział, w którym służył pradziadek, toczył nierówną walkę

z dobrze przygotowanym wrogiem. Zginęli dowódcy, było dużo rannych, zaczęło brakować broni, środków opatrunkowych i jedzenia. Oddział ukrywał się w lesie, spali na ziemi lub w stodołach u rolników. Niestety Niemcy otoczyli ich pierścieniem i wyłapali. Więcej informacji na ten temat znajduje się w książce Jerzego Śląskiego „Polska Walcząca. Uderzenie – Finał”. Jeńców popędzono w głąb Niemiec. Pradziadka osadzono w obozie jenieckim w Saksonii, tam nastąpiła segregacja, silnych i zdrowych zabrano do pracy.

Pradziadka skierowano razem z innymi do pracy w tartaku na przymusowe roboty. Tam uległ ciężkiemu wypadkowi, drzewo spadło z pasa transmisyjnego i połamało mu nogi. Właściciel tartaku skierował go na leczenie. Następnie przekazano go do pracy w polu u niemieckiego tzw. "baora".

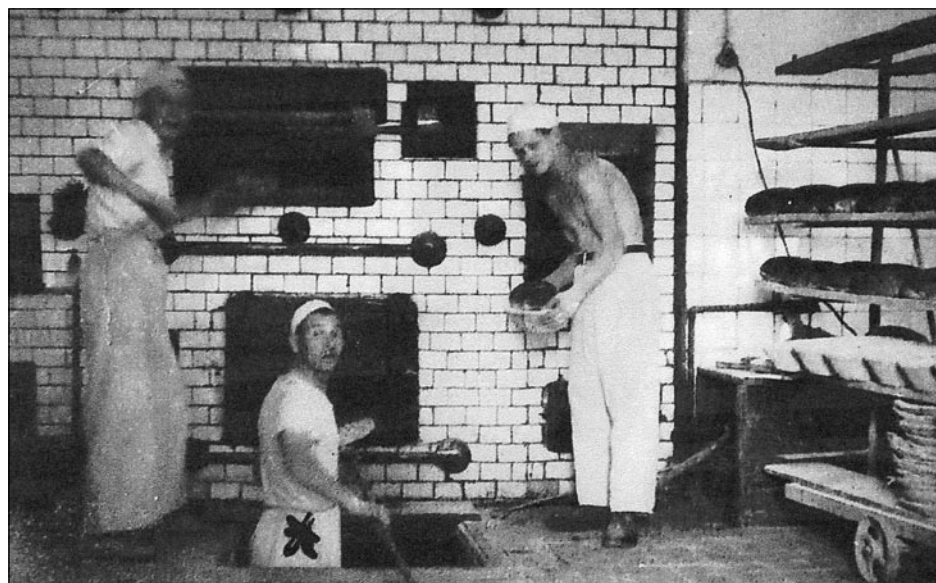
W tym czasie prababcia Wanda Lazuwowicz razem ze swoją mamą wychowywała małego synka i prowadziła piekarnię, cały czas szukając potajemnych kontaktów wśród znajomych Polaków i Niemców, żeby wydostać męża z niewoli. Po miesiącach usilnych starań dotarła do znajomego o nazwisku Mucha, który pracował jako tłumacz w magistracie w Sosnowcu. Podczas służbowej wizyty w Niemczech pan Mucha dotarł do pradziadka i dokładnie przekazał mu instrukcje dotyczące jego ucieczki. Jesienią 1942 r. pradziadek zszedł z pola do pobliskiego lasu pod pretekstem „za własną potrzebą”. Tam został przejęty przez dwóch Niemców, następnie dostarczony do pociągu, gdzie czekał pan Mucha. Wszyscy byli przebrani w niemieckie mundury i szczęśliwie dotarli do Sosnowca.



Pradziadek Bogusław Lazuwowicz. Służba wojskowa we Lwowie 15 VII 1934 r.

Po trzech latach ciężkiej niewolniczej pracy i tułaczki wrócił do żony i syna. Lecz strach i udręka pozostały, że w każdej chwili cała rodzina może pójść za to do obozu. Pradziadek do końca wojny musiał się ukrywać. Przychodził do rodzinnego domu pod osłoną nocy. Pomagał przy wypieku chleba, a nad ranem krył się przed ludzkimi oczami. Partyzanci potajemnie przychodzili po chleb. Trzeba było nielegalnie dokupywać mąkę, bo z niemieckiego przydziału nie wystarczyło na upieczenie chleba dla Niemców, Polaków i partyzantów. Ruch oporu wobec okupanta hitlerowskiego nasilał się coraz bardziej.

Słuszne okazały się obawy pradziadka, że znajdują się „donosiciele”, tak też się stało. Wiosną 1944 r. prababcia Wanda razem ze swoim synkiem i mamą dostała wezwanie do magistratu niemieckiego. Oka-



Wypiek chleba podczas wojny w piekarni pradziadka Bogusława Lazuwowicza



Kennkarte prababci Wandy Lazurwicz

Prababcia Wanda Lazurwicz z synkiem Marianem – na szyi ma złoty łańcuszek, który uratował im życie. Wiosna 1944 roku.

zało się, że był to nakaz wywiezienia ich do obozu w Auschwitz za „chleb dla partyzantów”. Mój dziadek Marian Lazurwicz (miał wtedy pięć lat) zapamiętał, jak mama błagała komendanta o zniszczenie donosu i nakazu na wywóz, żeby się zlitował chociaż nad tym dzieckiem. Komendant długo myślał i powiedział, że on też ma dzieci, a wojna niedługo się skończy. Zwrócił uwagę na duży złoty pierścionek i łańcuszek z krzyżykiem u prababci i stwierdził, że „córce by się spodobał”, wtedy prababcia Wanda odpowiedziała, że „jest to prezent od męża, ale tam gdzie ma być wywieziona z rodziną, to nic nie będzie jej potrzebne.”

To złoty krzyżyk z łańcuszkiem i zaręczynowy pierścionek uratował im życie. Nie zostali wywiezieni do Auschwitz. Prababcia podobno zawsze mówiła, że „zostali cudem ocaleni”. Dalej piekli chleb i dotrwali do końca 1944 r. W styczniu 1945 r. do Sosnowca – Maczek dotarła ofensywa Armii Czerwonej i oczekiwana wolność.

Drugą osobą, którą Niemcy wywieźli do niewolniczej pracy - po tragedii wrześniowej w 1939 r. - była najmłodsza siostra prababki Helena Lazurwicz, córka Antoniego i Elżbiety Lazurwiczów. Pracowała u „baora” w miejscowości Brauschwig. Ostatnia korespondencja dotarła do Polski w maju 1942 r. Na przesłanej fotografii napisała: *Na pamiątkę kochanej Bratowej i Bratu z dalekiej obczyzny-mała Hela dnia 19.IV.1942 roku. Brauschwig.* Poszukiwania po wojnie przez Czerwony Krzyż nie wniosły nic nowego. Do



dnia dzisiejszego nie wiemy, w jakich okolicznościach doszło do śmierci siostry prababki.

Radość z wolności w przypadku mojego prababki trwała krótko, ponieważ zaczęła się polityczna nagonka na ludzi, którzy byli rzemieślnikami, właścicielami sklepów, małych rodzinnych firm i współpracowali z AK i ruchem oporu, słuchali radia „Wolna Europa” oraz mieli odmienne zdanie na temat „sowieców”. Prababek Bogusław należał do tych ludzi, którzy do końca swojego życia mówił, że 17 września 1939 r. Armia Czerwona napadła od wschodu na Polskę, a za takie poglądy groziło więzienie, tortury i śmierć. Cały czas nie mógł sobie wybaczyć porażki wrześniowej.

Wiosną 1945 r. prababek znalazł się w więzieniu na 5 miesięcy za swoje przekonania. Po wyjściu z więzienia był rozgoryczony i zaszczuty, całkowicie zamknął się w sobie. W 1947 r. odebrano prababki piekarnię i upaństwowiono, chleb piekła Gminna



Spółdzielnia. Długo jeszcze nękano go podatkami, domiarami, bez złotówki odszkodowania za prywatną własność. Po odebraniu piekarni nie mógł znaleźć pracy, ponieważ był napiętnowany. Wreszcie został zatrudniony w PKP, długo jednak nie popracował. W 1955 r. 17 marca zmarł nagle na zawał serca w wieku 44 lat, zostawiając 15-letniego syna i żonę Wandę.

Mój wujek Eugeniusz Majcherkiewicz urodził się 28 września 1924 r. w Kluczach. Rodzice jego to Roman Majcherkiewicz i Antonina z domu Adamuszek. Jest jednym z niewielu, żyjących jeszcze świadków, który podczas okupacji niemieckiej przeszedł przez trzy obozy i przeżył koszmar wojennej okupacji. Udało mi się namówić wujka na przeprowadzenie z nim wywiadu dopiero w marcu 2009 r., nigdy dotąd nie zgadzał się na takie rozmowy.

**- Jak to się stało, że trafiłeś wujku do więzienia i obozu jenieckiego?**

- Wojna wybuchła 1 września 1939 roku, a ja jako młody chłopak 15-letni w obawie przed „wywózką” pracowałem we Dworze w Kluczach w majątku rodzinnym Dietlów (Niemców) jako robotnik leśny. Za 12 godzin pracy dostawałem zapłatę 1 złoty, podczas pracy była tylko jedna półgodzinna przerwa na zjedzenie przyniesionego ze sobą posiłku, była to butelka czarnej kawy i trochę chleba - napój grzało się przy ognisku. Nadzorcą był wówczas tzw. „Kanarek”, który pilnował wydajności pracy. Tak wyglądał szary dzień od świtu do nocy, nie wolno było odpocząć ani stanąć na chwilę. Prace przy sadzeniu drzewek trwały do końca maja, później do września była przerwa. W tym czasie były nasilone łapanki młodzieży i wywożenie na przymusowe roboty do Niemiec. Musiałem się ukrywać, bo jeszcze przed wojną należałem do harcerstwa, byłem mistrzem sportu i gry, otrzymałem pseudonim „Fakir”. Jestem w posiadaniu odznaczenia ZHP. Niestety, z 12 na 13 czerwca 1941 roku zostałem na noc w domu, przyszedłem się przebrać i umyć, no i wtedy wpadłem. Przyjechała żandarmeria w czapkach z napisem „Breslau” i zaaresztowali mnie. Razem z innymi mieszkańcami Klucz wywieziono nas do więzienia w Sosnowcu, tam już było gestapo w czarnych mundurach.

Następnego dnia wywołali po nazwisku kilkudziesięciu aresztowanych, m.in. mnie i załadowali nas do samochodów. Pod ścisłą eskortą SS wywieziono

nas do miejscowości Hermannsdorf, pierwszego mojego obozu.

**- Jak wyglądało życie w pierwszym Twoim obozie w Hermannsdorf?**

- Wyładowano nas, odebrano nasze ubrania i dostaliśmy stare drelichy, z namalowanymi białoczerwonymi, dużymi literami „P” na plecach około 50 cm, na piersiach i nogawkach od spodni, po lewej i prawej stronie, abyśmy byli widoczni z daleka. Nasze ubrania oraz dokumenty Niemcy wywieźli do lasu i spalili. Racje żywnościowe dostawaliśmy głodowe. Na śniadanie otrzymywaliśmy „zupę” z pokrojonych korpieli, brudnych i nie obranych, ugotowanych na wodzie – każdy otrzymał do metalowej miski po kilka kostek korpieli i wody.

Na obiad (na robocie - miskę trzeba było ze sobą nosić) była „zupa” gotowana na wodzie z lebiody, trawy lub suszonego szczawiu, czasem dosypywali trochę kaszy. A na kolację dawali porcję czarnego, ciężkiego chleba około 25 dag, który miał wystarczyć na cały kolejny dzień. Niemcy sprawdzali czy przypadkiem nie zjedliśmy całej porcji chleba, bo nam nie było wolno zjeść wszystkiego naraz, wówczas stosowano kary cielesne!

Wolno nam było raz w miesiącu wysłać do domu pocztówkę, ale musiała być napisana w języku niemieckim. Korespondencja przychodząca była ocenzonej. W obozie była również pisana korespondencja po polsku, dostałem pseudonim „Listonosz” i moim zadaniem było przemykanie tej poczty na zewnątrz. Chowałem ją pod wkładki w kamazach i przekazywałem Polakom pracującym w majątku ziemskim i dodatkowo w obozie. Nie mogłem podawać listów z ręki do ręki, tylko zostawiałem w umówionym miejscu pod głazami na budowie. Oni mieli więcej swobody i mogli te listy potem przesać do rodzin. Po latach dowiedziałem się, że ta korespondencja docierała do adresatów i przynajmniej wiedzieli, co się z nami dzieje i gdzie jesteśmy. Paczki żywnościowe, które przychodziły do nas – jeńców, były zabierane i gotowano z nich jedzenie.

Do pracy dostaliśmy tylko jedne buty, drewniaki, gnali nas na piechotę do budowy autostrady Berlin-Wrocław. Podczas marszu do pracy i z pracy musieliśmy głośno śpiewać, pod karą śmierci. Kto nie śpiewał szedł na odstrzał. Ja byłem przydzielony do kolumny numer 66,

a moim grupowym był Mieczysław Nercewicz z Katowic (technik dentysta), który znał język niemiecki. Nad wszystkimi w obozie był Polak-kapo, który uprzednio pracował w Fabryce Papieru w Kluczach jako inżynier, nazywał się Ajszczak, nie był dobrym człowiekiem: bił i wyzywał jeńców, donosił na Polaków.

Sam tego doświadczyłem na sobie, gdy wyprostowałem się na chwilę podczas roboty, to oberwałem ogromnym korzeniem po plecach tak, że upadłem na ziemię i nie mogłem się podnieść. Drugi Polak, którego znałem, to był Nowak Józef, pracował w biurze i na koniec wojny wykradł Niemcom wszystkie dokumenty m.in. ewidencję jeńców, które oddał później do Muzeum w Oświęcimiu.

Nie było lekko, spaliliśmy w barakach na piętrowych pryzkach. Robactwa było tyle, że po gazowaniu salosztub, zgarniało się je łopatami.

Przez szczeliny w barakach sypał śnieg, a nam wolno było spać albo w kalesonach, albo w podkoszulkach.

Sprawdzali nas Niemcy i bili, gdyby ktoś był ubrany w jedno i drugie lub spał w dwójkę, żeby było ciepłej. A było tak zimno, że woda w baraku zamarzała na wskroś we wiadrze.

**- W kwietniu 1942 roku zostałeś przeniesiony do kolejnego obozu, w jakim celu?**

- Dnia 10 kwietnia 1942 roku Niemcy przewieźli cały nasz obóz do Rattwitz celem budowy nowego zakładu i od razu nowego obozu pracy. Chodziliśmy 15 kilometrów do pracy w Markstädt. Przed przemarznięciem w zimie okręcaliśmy się pod więziennym ubraniem papierami z worków po cemencie. Byliśmy bardzo głodni, kiedy ukradłem po drodze jednego ziemniaka, bo chciałem go sobie uparować przy rurze z kotłowni, to Niemiec postrzelił mnie w głowę, za uchem. Za jednego ziemniaka straciłbym życie!

Po zakończeniu budowy obozu w Markstädt przeniesiono nas tam i dano „nowe” zawszone więzienne ubrania. Nigdy więcej nie widziałem takich wielkich wszy. I dalej budowaliśmy zakład. Po kilku miesiącach do naszego obozu Niemcy przywieźli w „krowiakach” transport Żydów, a nas prosto z zakładu zaprowadzili na stację kolejową i załadowali do w/w wagonów i powieźli do Auschwitz.

**- Powstało wiele opracowań o obozie w Auschwitz, chciałbym usłyszeć Twoją wersję wydarzeń, których byłeś świadkiem.**

- Do obozu nr 50 Lager Auschwitz dotarliśmy w wagonach 25 czerwca 1942 roku. Na dworcu w Oświęcimiu czekali na nas SS-mani z psami, kazali nam leżeć twarzą do ziemi. Zabierano nas po sto osób do obozu, otoczeni byliśmy kordonem Niemców, żeby nikt nie uciekł. Ulokowano nas w barakach obozowych. Moja praca polegała na wywożeniu ziemi pod budowę zakładu chemicznego. Pod koniec 1942 roku w obozie wybuchła epidemia tyfusu. Do dziś mam przed oczami ciała ludzi, tyle trupów, co tam widziałem, to w głowie się nie mieściło. Nie nadążano spalać ich w krematorium, więc układano trupy na ziemi, w stosy, przekładając drewnem i palono. Smród był nie do zniesienia, bolały nas głowy i nie mogliśmy jeść nawet tych głodowych racji.

Na co dzień byłem świadkiem wielu niepotrzebnych śmierci niewinnych ludzi. Jeszcze powiem taki przykład: Niemiec rzucił swoją czapkę i kazał ją przynieść jednemu jeńcowi, a gdy ten podał mu ją, to na naszych oczach strzelił mu prosto w głowę, i pytam się „za co to wszystko?”, o innych przykładach już nie będę mówił, może innym razem.

Po wybudowaniu zakładu, pracowałem tam, było to we Dworach na „A” trasie. Produkowano tam taką ciecz chemiczną, która paliła żelazo i kamień, gdy jedna kropla upadła jednemu pracownikowi na stopę, to nie mogliśmy go uratować, bo tak go paliło. Ten płyn wywożono, ale nie wiem gdzie. Pamiętam do dziś ten zakład, były w nim inne specjalne rury na tę chemiczną ciecz.

Cały zakład otoczony był zaporami balonowymi, a podczas nalotów robiono dymną zasłonę, by nie był widoczny. Pracowałem tam z innymi, zagranicznymi jeńcami. Anglicy i Amerykanie byli w osobnym obozie, chodzili ogoleni i zadbani, mieli normalne jedzenie, nawet czekolady i papierosy. To dzięki nim nie wykończyłem się z głodu, nieraz dawali mi czekoladę lub coś innego do zjedzenia. Podczas nalotów Niemcy chowali się do schronów, a wytypowani jeńcy musieli mieć wartę na dachu zakładu i pilnować, żeby w razie czego zamknąć rurociągi z cieczą i wszystko wyłączyć. Ta gehenna trwała do 9 marca 1944 roku.

**- Jak wspominasz powrót do domu?**

- Gdy wróciłem z obozu, to w Kluczach nikt mnie nie poznał, a rodzice nie wierzyli, że to JA! Byłem tak strasznie wygłodzony i wychudzony, że od śmierci z wyczerpania dzieliły mnie tylko dni, dłużej bym

nie przeżył. Przez te wszystkie lata myślałem tylko o jednym: „żeby sobie wreszcie pojeść, wyspać się i po obudzeniu zobaczyć biały sufit rodzinnego domu”.

- *Jak wygląda powojenne życie „Obozowiaka”?*

- Od lat spotykamy się co najmniej kilka razy w roku, MY OBOZOWIACY, ponieważ została nas mała garstka, zrodził się pomysł upamiętnienia ofiar faszyzmu z powiatu olkuskiego. Inicjatorem był Kazimierz Czarnecki, prezes Związku B. Więźniów Politycznych i Obozów Koncentracyjnych w Olkuszu i przewodniczący społecznego komitetu budowy pomnika. Na frontowej pochyłej ścianie wykuto ręcznie napis: „Mieszkańcom Olkusza i ziemi olkuskiej zamordowanym w obozach koncentracyjnych i hitlerowskich więzieniach w latach 1940-1945, w hołdzie społeczeństwo, Olkusz 2005”.

Nazwiska ofiar na tablicach grupowane są alfabetycznie w układzie obozów koncentracyjnych zakończone zbiorowym tekstem dla ofiar bezimiennych.

Na ostatniej tablicy został umieszczony napis: „Pamięci kilkunastu tysięcy Żydów z Olkusza i ziemi olkuskiej, głównie bezimiennych ofiar komór gazowych w KL Auschwitz-Birkenau i w Bełżcu” oraz cytata Abrahama Joshuy Heschela „Różne są języki naszych modlitw, lecz ły są zawsze takie same”.

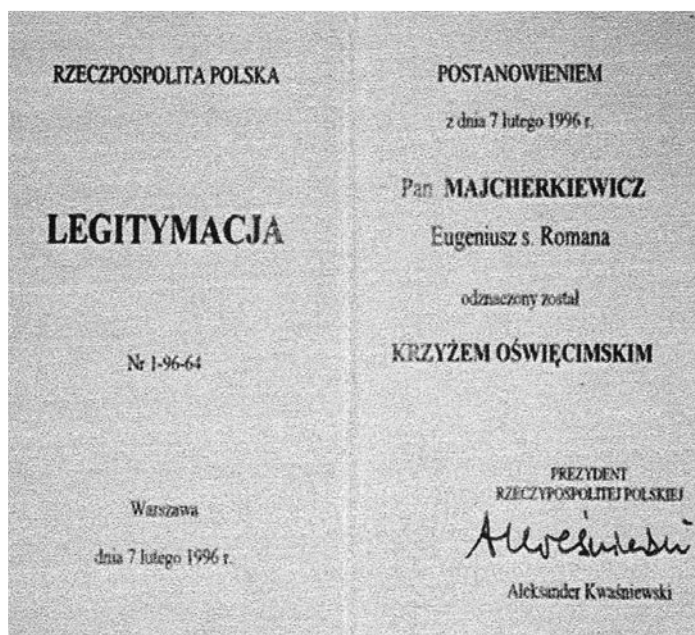
Zostałem zaproszony na tę uroczystość wraz z innymi żyjącymi obozowiakami. Dokonałem aktu wmurowania urn z ziemią z terenu obozów, w których ginęli mieszkańcy ziemi olkuskiej.

My obozowiacy zawsze pamiętamy o sobie. Ci, co jeszcze żyją, chodzą na pogrzeby tych, co odeszli, i oddajemy im cześć i honor - każdy z nas nakłada wtedy na ramię obozową przepaskę i chustę - nasz znak rozpoznawczy.

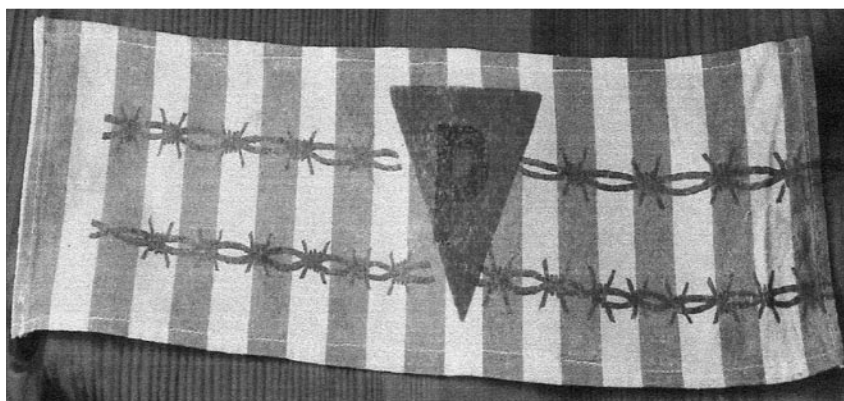
- *W jaki sposób wynagrodzono Ci doznane krzywdy i cierpienia?*



Odnaczenie za doznane cierpienia i krzywdy w niemieckich obozach zagłady nadany dnia 7 lutego 1996 r. przez prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego



Legitymacja Krzyża Oświęcimskiego



Obozowa opaska Eugeniusza Majcherkiewicza, zakładana podczas pogrzebów „obozowiaków” oraz uroczystości państwowych.



- Najcenniejszym odznaczeniem za doznane cierpienia i krzywdy w niemieckich obozach zagłady jest dla mnie Krzyż Oświęcimski, nadany dnia 7 lutego 1996 roku przez prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego. Mam również medal z okazji 60 rocznicy wyzwolenia KL Auschwitz-Birkenau 27.01.1945- 27.01.2005 oraz medal nadany z okazji 60-lecia Polskiego Związku B. Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych. Tak naprawdę tego, co przeżyłem, nikt nie jest w stanie wynagrodzić. Pomimo że mam 84 lata, nadal budzę się w środku nocy, dręczą mnie koszmarne sny obozowe i tamte wspomnienia. Zdrowia nigdy nie odzyskałem, jestem inwalidą I grupy i pod stałą opieką lekarską.

Po przeanalizowaniu literatury wiem, że od zakończenia II wojny światowej aż do roku 1966, mieszkańcy miasta Olkusza nie upamiętnili miejsc martyrologii Żydów. Nie rozumiem, dlaczego świadkowie tamtych wydarzeń milczeli przez tyle lat. Zatarły się w pamięci nazwiska ludzi przeżywających piekło na ziemi, którzy teraz są bezimienni. Nikt nie podejmował nawet prób opracowania historii Żydów z mojego regionu, nie zajmowano się również zabytkami ich kultury. Na szczęście teraz ta sytuacja zmieniła się, dostępne są książki upamiętniające martyrologię narodu żydowskiego, miasto zaczęło dbać i odnawiać zabytki. W mojej rodzinie przechowała się świadomość i pamięć Holocaustu ze względu na przeżycia związane z okupacją hitlerowską.

Podział świata po wojnie przypieczętowała konferencja w Jałcie na Krymie (6-11 II 1945). Zdecydowano wówczas, w jaki sposób będą zarządzane okupowane Niemcy i jak przebiegną granice stref okupacyjnych. To nie MY-Polacy rozpętaliśmy piekło II wojny światowej i nie jesteśmy odpowiedzialni za przesiedlenia Niemców, to za Nas zdecydowano. Ustalenia jałtańskie zostały podjęte bez konsultacji z Polakami, najbardziej zainteresowanymi, wbrew podstawowej zasadzie prawa międzynarodowego, iż żadne państwo nie może być pozbawione swych praw bez własnej zgody.

W 1945 roku rozpoczęły się ruchy ludności. Wydarzenia, które wzbudzały pogłębianie się nienawiści w stosunkach polsko-niemieckich. W Polsce mówiło się o wysiedleniach Niemców, zaś w Niemczech o „wypędzeniach”.

Zrozumiałem, że dramaty i wydarzenia wojenne okupione zostały ogromem cierpienia, bólu całych rzesz milionów istnień ludzkich. I to tylko dlatego, że Hitler uznał wyższość swojej rasy. Mojemu dziadkowi utkwiły jako dziecku słowa hymnu Niemców: „Niemcy, Niemcy ponad wszystko...” – żaden inny naród na świecie nie wynosił się tak ponad innych ludzi.

Niemcy są od wieków naszymi sąsiadami i wszelkie problemy powinniśmy rozwiązywać poprzez pozytywne inicjatywy, negocjacje i współpracę.

Należy pozbyć się wzajemnych uprzedzeń, wrogości i zaszłości historycznych, ponieważ oba narody dokonały wiele i zasłużyły na coś więcej, by miejscem spotkań nie były tylko pola bitewne, obozy koncentracyjne i cmentarze.

Tak jak zmienia się świat, tak zmieniają się ludzie. Nie można oceniać narodu niemieckiego tylko na podstawie wydarzeń z II wojny światowej. Nasze „dziś” tworzyły pokolenia „wczoraj”, a „jutro” tworzymy My młodzi poprzez tolerancję, naukę, pracę i miłość, aby żyć w pokoju i przyjaźni.

Jestem otwarty na nowe doświadczenia i pozytywne przykłady współpracy polsko-niemieckiej. W maju wyjeżdżam na wymianę młodzieży do Sonderhausen w ramach projektu „Kreis-Jugendring”. Mam nadzieję, że nowe kontakty i zdobyte doświadczenia z kolegami niemieckimi zaowocują w przyszłości. Znając historię, wiemy już czego unikać i co kontynuować. To My tworzymy nowy rozdział historii i własny system wartości społecznych kierując się sumieniem i słowami zawartymi w Deklaracji Praw Człowieka: „Wszyscy ludzie rodzą się wolni i równi pod względem swej godności i swych praw. Są oni obdarzeni rozumem i sumieniem oraz powinni postępować w stosunku do siebie wzajemnie w duchu braterstwa”

## (Wielko)Polska pod okupacją niemiecką

Historia Polski zawsze kojarzy się w jakiś sposób Polakom z naciskiem i wrogim nastawieniem ze strony Niemiec. W szczególnej mierze jest to okres rozbiorów i drugiej wojny światowej. Podczas rozbiorów moje miasto znajdowało się pod zaborem pruskim, a podczas II wojny światowej moją rodzinę, jak i wiele innych, masowo wysiedlano z Poznania i całej Wielkopolski. Czy jednak znam dobrze historię mojej rodziny, mojego miasta i mojego regionu? Czy tak naprawdę w szkole uczą mnie o tym, co działo się w moim mieście? Czy to, czego mnie uczą jest dla mnie wystarczające?

Nie, nie i nie. Moja rodzina wysiedlona z Poznania przez Niemców nie żyje albo brakuje między nami jakichkolwiek kontaktów. O roli Poznania i jego mieszkańców, a także o działaniach wojennych w Wielkopolsce niewiele się mówi. Gdzieś, czasem, ktoś o tym napomknie, jednak nie jest to zjawisko częste... Zdaję sobie sprawę z tego, że historia mojego kraju jest bardzo bogata. Tak samo wiem, jak wielu poznaniaków poświęciło się, by Polska mogła istnieć. Wydaje mi się jednak, że szczególnie mało mówi się o roli harcerstwa w czasie okupacji niemieckiej. Tymczasem to właśnie oni stanowili główne siły bojowe w Podziemnej Polsce. Skąd o tym wiem? Bo sama jestem harcerką. I często słyszę od starszych harcerzy, którzy brali udział w wojnie, jak wielką była ich rola. Uważam jednak, że rozpowszechnianie tej wiedzy w szkole powinno być jednym z zadań historyków.

Dlatego chcę napisać o wybitnej poznaniance i harcerce, której działania miały wielkie znaczenie dla mojego regionu, ale nie tylko. Poza tym chcę opisać wspomnienia mojej najbliższej rodziny przekazywane z pokolenia na pokolenie. Niestety tych wspomnień nie znam wiele - moja rodzina o czasach wojny raczej milczy. Pewnie jest to temat zbyt przykry...

No właśnie? Co z Niemcami? Czy wszyscy byli złymi hitlerowcami? Czy każdy Niemiec uważał się za lepszego od Polaka? Oczywiście, że nie. Niemców

przesiedlano tam, skąd wysiedlano ogromne ilości Polaków, ale nie oznacza to wcale, że ci Niemcy tego chcieli.

Zapytałam moją babcię, jaki jest jej obraz Niemców. Zapytałam czy znała także dobrych ludzi tej narodowości. Opowiedziała mi wtedy dwie historie...

„Wiesz? Podczas wojny mieszkałam tu, w Poznaniu. Tylko, że w kamienicy na ulicy Dąbrowskiego. Był tam sklep ze słodyczami. Ale wiesz? Wtedy nie było tak, jak teraz. Cukierki, czekoladki... to było tylko dla Niemców. Polakom nie sprzedawano. Byli gorsi. Ale i Niemcy mogli kupić lizaka tylko na kartkę. Ten sklep prowadziła Niemka. Mieszkała w Poznaniu od wielu, wielu lat. I ten sklep też miała jeszcze przed wojną. Była bardzo sympatyczną kobietą. I kochała dzieci. I gdy jakieś polskie dziecko przechodziło obok sklepu, wpatrzona w futrynę, gdzie pełno było czekoladek, lizaków, cukierków, to takie dziecko zawsze dostało od niej cukierka. I to za darmo. A niemieckie dzieci nie! Tylko na kartkę. I musiały płacić. Widzisz? Nie wszyscy Niemcy byli źli.

A kiedy moja ciotka pracowała w magazynie na lotnisku, to niemiecki kierownik bardzo ją szanował. Miał do niej pełne zaufanie. Większe nieraz, jak do Niemców. Dzięki temu ciotka mogła pomóc przy przesiedleniach, załatwić lewe papiery i w ogóle. A jak się już koniec wojny zbliżał i Niemcy uciekali w popłochu powiedział jednego dnia: „Pani Asiu. Proszę nie przychodzić jutro do pracy. Bo panią zgnarą!” I nie poszła. I pewnie uratował ją od nędzy gdzieś w Niemczech”.

Chrzestny mojego taty był Niemcem. Mieszkał w Poznaniu. Nie chciał się wpisać na Volkslistę. I dlatego był źle traktowany. Pomagał Polakom i Żydom. I nigdy, przenigdy nie odmówił nikomu pomocy. Zapłacił za to życiem.

Życie Polaków w Wielkopolsce nie było łatwe. I nie wszyscy Niemcy byli dobrzy. Dlatego właśnie powstały tutaj struktury konspiracyjne. Ważną rolę odegrali tu

harcerze. Nie było to jednak łatwe. Był to obszar szczególnie zaludniony przez Niemców i folksdojców. Poznańska konspiracja nie była rozbudowana i bardzo mocno przestrzegano jej zasad. W samym Poznaniu głównie powielano prasę podziemną, i kolportowano ją. Jedną z osób ściśle współpracującą z podziemnym magazynem „Pobudka” była Irena „Nenia” Bobowska. Jest to osoba, która stanowi dla mnie autorytet i która bardzo mocno wpisała się w historię Poznania...

W wieku 2 lat Nenia przeszła chorobę Heinego-Medina, wówczas nieuleczalną, która sparaliżowała jej nogi. Przez całe życie poruszała się na wózku inwalidzkim. Mimo to była bardzo radosną i pełną życia osobą. Odnaczała się charakterem wodzowskim, przyciągała do siebie ludzi jak magnes. Chciała być użyteczna dla innych, najbardziej odpowiadała jej praca z dziećmi i młodzieżą. Postanowiła zająć się pracą z harcerkami na Osiedlu Warszawskim. Latem 1939 r. mówiono o planach użycia w walce z Niemcami „żywych torped”- specjalnie wyselekcjonowanych ochotników, którzy za cenę życia mieli dokładnie nakierować pocisk z materiałem wybuchowym na wybrany cel. Nenia zgłosiła się nie mówiąc nic rodzinie. Zrezygnowano jednak z tej formy walki.

We wrześniu wybuchła wojna. Poznań został przyłączony do Rzeszy, rozpoczął się terror hitlerowski:



Okładka książki „Nenia” Stefanii Tokarskiej – Kaszubowej, Wydawnictwo Miejskie Poznań, 1999 r.



Nenia (na wózku) z siostrą Urszulą w 1937 r. Zdjęcie dzięki uprzejmości autorki książki, p. Stefanii Tokarskiej – Kaszubowej oraz Wydawnictwa Miejskiego.

aresztowania, przesiedlenia, eksterminacja. Ojciec Neni wziął udział w kampanii wrześniowej. Został wzięty do niewoli. Trafił do obozu w Koziesku i został zamordowany w Katyniu.

Nenia już w pierwszych tygodniach wojny zajęła się działalnością konspiracyjną. Wstąpiła do Wojskowej Organizacji Ziem Zachodnich (WOZZ). Z jej inicjatywy zaczęto wydawać od listopada „Pobudkę”- organ prasowy organizacji. W lutym 1940 r. została zaprzysiężona pod pseudonimem „Wydra”. Redagowała artykuły, pisała na maszynie i matrycach, zajmowała się powielaniem i kolportażem pisma, przewoziła je pod siedzeniem wózka. Z tym wiąże się pewna historia. Pewnego razu, gdy Nenia przewoziła pismo, została potrącona przez niemieckiego żołnierza, spadła z wózka. Uprzejmy człowiek postanowił sprawdzić czy nic się nie stało i pomóc jej. Niestety spod siedzenia wypadł egzemplarz „Pobudki”. Żandarm szybko pomógł jej usiąść na wózku i odjechał. Pewnie gdyby trafiła na innego człowieka, szybko zostałaby stracona. Po raz kolejny przekonałam się dzięki temu, że nie wszyscy Niemcy byli źli.

„Pobudka” demaskowała fałszywą niemiecką propagandę, pisano w niej artykuły o prawdziwej sytuacji militarnej, podtrzymywano nadzieję na zwycięstwo. Miała 4-9 stron i była wydawana techniką powielania. Tygodniowo kolportowano ok. 100-300 egzemplarzy, nie zachował się żaden numer.



Niestety Niemcy wpadli na trop działalności Ire-ny i jej współpracowników. Aresztowano ich 20 VI 1940 roku. Rozpoczęto brutalne śledztwa i rewizje. Nenię osadzono w Forcie VII, w celi nr 23. Stamtąd przesyłała grypsy do rodziny. Nie skarżyła się. Dzięki otrzymanywanym z domu paczkom pomagała innym więźniom. Wiele tam wycierpiała. Kazano jej się czołgać po zboczach fortu, spychano ją ze schodów, a jej głównym pożywieniem stał się dżem robiony z brukwi.

W październiku przeniesiono ją do więzienia we Wronkach. Panowały tam koszarne warunki: głód, zimno, choroby, brud i robactwo. Z powodu kalec-twa Nenia była szczególnie prześladowana. Bito ją i głodzono. Odebrano jej wózek i szyny utrzymujące sparaliżowane nogi. Musiała czołgać się na rękach. Gehennę pozwoliło jej przetrwać stworzenie wła-snego wewnętrznego świata. Pisała wiersze pełne miłości, tęsknoty za wolnością i domem rodzinnym, przejmujące świadectwo walki o zachowanie ludzkiej godności wbrew nieludzkim warunkom więziennym. Nie wiadomo, ile ich powstało, nie wszystkie ocalały, zapewne nie wszystkie udało się odnaleźć. Jeden z nich - „Bo ja się uczyć” - rozpowszechniony był w Poznaniu, znany również w Oświęcimiu i Fordonie, wśród więźniarek AK stanowił wskazówkę, jak żyć aby przetrwać.

Bo ja się uczyć

Bo ja się uczyć największej sztuki życia:

Uśmiechać się zawsze i wszędzie

I bez rozpaczki znosić bóle,

I nie żałować tego co przeszło,

I nie bać się tego co będzie!

Poznałam smak głodu

I bezsennych nocy (to było dawno)

I wiem jak kłuje zimno

Gdy w kłębek chciałbyś skulony,

I wiem co znaczy łać łąz niemocny

W niejeden dzień jasny ,

Niejedną noc ciemną

I nauczyłam się popędzać myślami

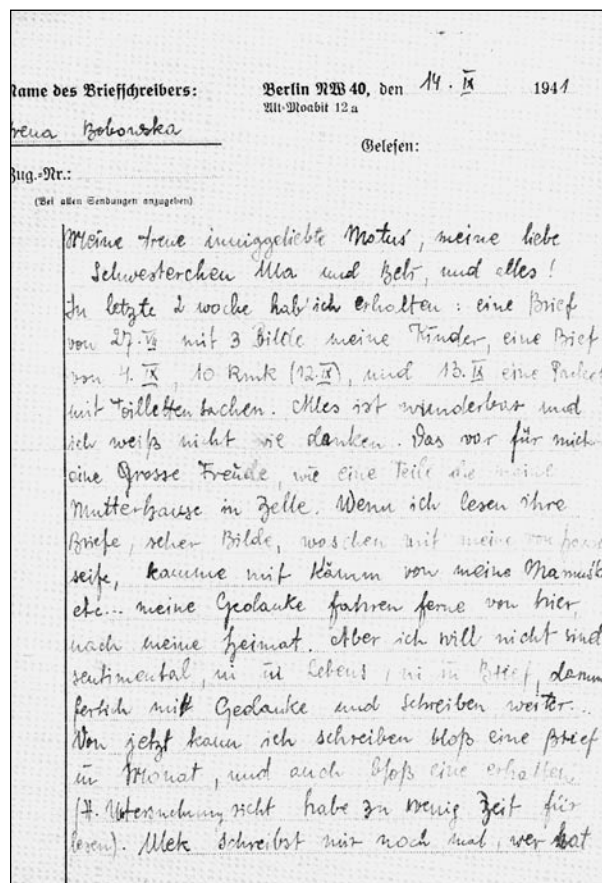
Czas, co bezlitośnie lubi się dłużyć.

I wiem jak ciężko trzeba walczyć

z sobą,

Aby nie upaść i nie dać się znużyć

Nie kończącą zda się drogą.



Pisany po niemiecku list Neni z więzienia datowany na 14 września 1941 r.

Zdjęcie dzięki uprzejmości autorki książki, p. Stefanii Tokarskiej – Kaszubowej oraz Wydawnictwa Miejskiego.

Kolejnymi etapami było więzienie Berlin Spandau i ostatni już - szpital więzienny Berlin Alt Moabit. Panujące tam warunki wydawały jej się „rajem” w porównaniu z Wronkami.

12 sierpnia 1942 roku odbyła się w Berlinie roz-prawa przeciwko Neni i jej współpracownikom z redakcji „Pobudki”. Udzielono jej prawa do ostatnie-go słowa. Mówiła przez prawie 30 minut. Nie broniła się. Przypomniała Niemcom rządu Bismarcka, zabory, Kulturkampf, w końcu zbrodnie hitlerowskie. Swoją wypowiedź zakończyła słowami: „Dziś wy mnie są-dzicie, ale was będzie sądził ktoś wyższy”. Przyznała się do „winy”, którą jej zarzucano. Wydano oczywi-ście wyrok śmierci. Egzekucję (ścięcie) wykonano 26 września 1942 roku o godzinie 4.56 nad ranem w więzieniu Ploetzensee w Berlinie.

Odeszła spokojnie, mając 22 lata. Pozostawiła po sobie piękne wiersze, pełne wrażliwości, miłości i cierpienia, a także wiele rysunków. Najważniejsze jednak jest to, czego dokonała wśród ludzi, sprawy,



Ostatni autoportret Neni wykonany na 24 dni przed rozprawą skazującą ją na śmierć.

Zdjęcie dzięki uprzejmości autorki książki, p. Stefanii Tokarskiej – Kaszubowej oraz Wydawnictwa Miejskiego.

których nie da się zmierzyć, a które ciągle trwają, przykład niezłomnego ducha zamkniętego w niepełnosprawnym ciele.

W tej chwili o Neni nie wie prawie nikt. Kilku harcerzy i harcerek, może jakaś rodzina Neni. Nikt nie mówi o tym, jak wiele nieszczęść czekało na poznaniaków. O tej niezwyklej dziewczynie dowiedziałam się ze wzmianek w artykułach o Forcie VII. Zaczęłam się tym bardziej interesować. Jednak informacji nie było wiele. Znalazłam zaledwie jedną książkę. I jeden artykuł w Internecie... Wraz z moją drużyną staramy się to zmienić! Pisanie o Neni i rozpowszechnianie wiadomości o niej sprawia mi wielką przyjemność.

Takich osób jak Nenia w Polsce było znacznie więcej. Oni dawali przykład i swoją wiarą w wolną Polskę prowadzili naród do zwycięstwa. Okupacja niemiecka jedynie pomogła uświadomić takim ludziom, jak Nenia, Florian Marciniak itp., że ich determinacja, odwaga i wiara w odzyskanie niepodległości mogą doprowadzić do rzeczy wielkich. To oni uświadamiali Polakom, że należy walczyć, bronić się i nie tracić ducha polskości.

Polska pod okupacją niemiecką nie straciła swej narodowości, odwagi i wiary w wolność. Dlatego też Polska trwa do dziś. Tacy ludzie jak Irena Bobowska i wielu, wielu innych zadbało o to, by dziś kraj był wolny.

Czy możemy czuć żal do Niemców za to co się stało? Uważam, że nie. Hitler był człowiekiem posiadającym cechy dowódcze i umiał manipulować ludźmi. Pod jego wpływem ludzie zmieniali się całkowicie. Nie zostawało im wiele człowieczeństwa i skrupułów. Myślę, że dzisiejsze państwo niemieckie nie może być postrzegane jako okrutne, tylko dlatego że jeden człowiek doprowadził do tak wielkiej rzezi. Moja rodzina obraz wojny zapamiętała bardzo różnie. Nie jest to jednak obraz samych okrucieństw, bo wśród tych obrazów są także dobre wspomnienia. Ukazują one Niemców jako ludzi takich samych jak inni. Będących jedynie pod wielką presją władz swojego państwa. O tym, co się stało, należy pamiętać. Jest to rodzaj przestrogi dla wszystkich ludzi żyjących na świecie. A dla nas, Polaków jest to sposób, by zrozumieć, że Polska będzie istnieć tak długo, jak długo będziemy posiadać świadomość przynależności do narodu polskiego i szacunek do ludzi, którzy poświęcili swoje życie za wolną Polskę.



## „Czas to ludzie...”<sup>1</sup>

W czwartek 12 marca w kolorowym włoskim magazynie „Corriere della Sera” znalazło się sformułowanie Konzentrationslager polacco (polski obóz koncentracyjny). Artykuł dotyczył apelu premiera Donalda Tuska o pomoc finansową dla muzeum w Auschwitz. Ambasada RP we Włoszech rozesłała listy do redakcji włoskich mediów protestując przeciwko powtarzającemu się stosowaniu przez nie określenia „polski obóz koncentracyjny”. Takie wiadomości docierają do nas od czasu do czasu. Nie można się z tym zgodzić. Trzeba ciągle protestować, protestować i przypominać, że obozy koncentracyjne były najstraszniejszym przejawem hitlerowskiego ludobójstwa. Chodzi o to, by nie zafałszować historii.

\* \* \*

Moja babcia, Edyta Wojnerowicz, z domu Rogozińska, urodziła się w 1915 r. w Berlinie. Jej rodzice wyjechali do Niemiec „za chlebem”. Swego ojca nie pamiętała, ponieważ zginął na wojnie – do domu nie wrócił. Kiedy miała 9 miesięcy, cała rodzina przyjechała do Polski. Wychowywali ją przede wszystkim dziadkowie. Wyszła za mąż za Stanisława Wojnerowicza. W chwili wybuchu wojny miała 24 lata. Rodzina nie przeczuwała wówczas, że zawali się jej cały dotychczasowy świat, że czekają ich wy-

siedlenia i śmierć. Do Cekcyna dochodziły różne, często sprzeczne informacje. Postanowili uciekać na wschód, za Wisłę. Zapakowali najpotrzebniejsze rzeczy na wóz. Razem z babcią i jej mężem jechali jej teściowie Tekla i Józef Wojnerowicz oraz ks. Cyryl Karczyński, który parafię w Cekcynie objął w 1938 r. Zdecydowali jechać do Przechowa na prom. Jechali w kierunku Osie - Laskowice – Świecie. Po drodze mijali uciekinierów takich samych jak oni. Wszyscy byli przerażeni. Podczas jazdy na wozie rozmawiali o swojej niepewnej sytuacji. Byli dezorientowani, pełni niepokoju o swoją przyszłość. Śpiewali pieśni kościelne m.in. „Kto się w opiekę”. Ksiądz Cyryl Karczyński głośno się modlił. W Osiu spotkali ludzi, którzy wracali ze Świecia. Mówili oni, że prom został zbombardowany, są zabici i ranni. Wybuchła panika. Wszyscy zrozumieli, że nie ma dokąd uciekać i tą samą drogą, na której leżały stosy trupów ludzi i zwierząt, wracali do domu. Wszędzie już byli Niemcy.

Proboszcz cekcyński podzielił wkrótce los innych duchownych. 28 X 1939 r. został aresztowany i najpierw był więziony w Kamieniu Krajeńskim. Od 15 XII 1939 r. przebywał w obozie koncentracyjnym Stutthof, a od 10 IV 1940 r. w Sachsenhausen, koło Oranienburga, gdzie zmarł z wyczerpania 29 V 1940 r.



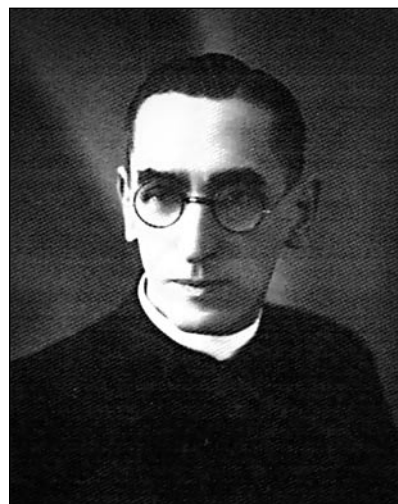
Rodzina Karwaszów



Po powrocie do domu moi dziadkowie dowiedzieli się, że tyle szczęścia co oni nie miał 56-letni ojciec Tekli, Wojciech Karwasz, mieszkający w Lipienicy koło Świekatowa. 1 IX 1939 r. razem ze swym starszym bratem Ignacym załadowali rodziny na fury, do wozów przywiązali krowy i też ruszyli na wschód. Dostali się pod ostrzał samolotów, artylerii. Oni też zrozumieli, że nie ma ucieczki przed wojną... Podjęli decyzję o powrocie. W drodze przeszli dwie kontrole, trzecią tuż przed Lipienicą. Syn Wojciecha, Albin Karwasz, tak wspomina tamte chwile grozy: „Zatrzymali nas ok. godziny 12<sup>00</sup>. Zabrali strzelby myśliwskie ojca i stryja. Dwie godziny później kazali ojcu i naszej rodzinie wracać do domu. Zatrzymali stryja z rodziną. Gdy odjechalśmy ok. 1 km, usłyszeliśmy z lasu głośne lamenty kobiet: ratunku, pomóżcie. Padły strzały!...” Stryja Ignacego rozstrzelali na oczach żony i dzieci, a przedtem zerwali mu odznakę BBWR-u. Prawdopodobnie czekali już na niego, wiedzieli, kim jest (Wojciech i Ignacy przez kilka lat walczyli w urzędach pruskich o zgodę na budowę domu na swojej ziemi). Rozstrzelali również córkę Ignacego – Franciszkę i syna Leona.

Po zajęciu ziem polskich rozpoczęła się w Polsce okupacja niemiecka. Dekretem Hitlera z 8 października 1939 r. włączono do Niemiec zachodnią i północną część Polski. (10 mln ludności) jako tzw. „ziemie wcielone”, na pozostałych terenach utworzono Generalne Gubernatorstwo. Niemcy uznali ziemie polskie za trwałą zdobycz wojenną i wprowadzili na nich wyjątkowo brutalny system sprawowania rządów okupacyjnych. Polegał on na wszechwładzy Niemców, terrorze, braku poszanowania praw ludności zagwarantowanych postanowieniami międzynarodowymi. Na ziemiach wcielonych do III Rzeszy zakazano używania języka polskiego w urzędach i instytucjach oraz rozpowszechniania polskich druków. Wprowadzono niemieckie nazewnictwo geograficzne. Już jesienią 1939 r. przystąpiono do wysiedlania Polaków do Generalnej Guberni, część kierowano do prac przymusowych w III Rzeszy. Na Pomorzu, Śląsku i w Wielkopolsce zmuszano ludność polską do wpisywania się na tzw. niemiecką listę narodową (volksdeutsch).

III Rzesza wytworzyła cały system obozów, podobozów, filii, służących dławieniu wszelkiego oporu w Niemczech i na terytoriach zajętych. Były to miejsca



Ks. Cyryl Kaczyński.

odosobnione przeznaczone do izolacji, niewolniczej eksploatacji fizycznej i eksterminacji przeciwników faszyzmu. Funkcjonowały w latach 1933-1939 na terenie III Rzeszy oraz w krajach okupowanych przez Niemców.

Na Pomorzu bardzo złą sławę zdobył obóz położony nad morzem w Stutthofie. Tam (jak pisałam wcześniej) przebywał przez 4 miesiące ks. Cyryl Kaczyński, który zmarł w obozie w Oranienburgu. Ks. Wojciech Gajdus, dzielący z ks. Cyrylem dolę obozu koncentracyjnego, w książce pt. „NR 20998 opowiada”, poświęcił mu następujące, wstrząsające wspomnienie:

„Wkrótce też po okresie śpiewów spadła na blok taka porcja ćwiczeń, że trzeba było odnieść kilku kolegów do krematorium. Odszedł ks. Cyryl Kaczyński, proboszcz Cękcyzna Tucholskiego, który mimo 60 lat trzymał się aż dotąd tak dzielnie i tak wytrzymywał nieludzkie ćwiczenia, że podziwialiśmy go wszyscy. W Stutthofie odbył kilkudniową ciemnicę na betonie nagim i zimnym w nieopalanym bunkrze podziemnym przy 30<sup>o</sup>mrozu. Bito go tam do tego stopnia, że co chwila mdlał i co chwila polewano go zimną wodą i znowu bito. Wyszedł z bunkra półżywy. Na świeżym powietrzu wydobrażał i do Oranienburga przyjechał we względnie dobrej kondycji. Biegi z żabką i biciem zrujnowały jego zdrowie. Od kilku dni włókł się za biegnącą kolumną, a popędzany dla zachęty kijem, walił się bez siły na ziemię. Hart i wytrzymałość tego księdza budziły podziw. Toteż żal nasz był ogromny, gdy widziano, że i on zabiera się do odejścia. I on odszedł cichy, skupiony, słowem się nigdy na żadną dolegliwość nie skarżył, był mężny w cierpieniu i w śmierci.”



Tekla i Józef Wojnerowicz z rodziną przed swoim domem.

Ks. Cyryl Karczyński należy do grona męczenników diecezji pelplińskiej i czeka na rychłą beatyfikację, o co gorąco modlą się parafianie z Cekcyna.

W czasie okupacji niemieckiej w Polsce masowo przesiedlano mieszkańców, przeważnie w celu zmiany składu etnograficznego ludności. Przesiedlenia dotknęły także rodzinę Wojnerowiczów. Moja babcia Edyta mieszkała z mężem, dwojgiem dzieci: Basią i Waldkiem ze swoimi teściami. Jednak wkrótce zostali zawiadomieni, że mają opuścić dom. Ich gospodarstwo przejął niemiecki bauer. Babcia z rodziną wyprowadziła się do odległego o 4 km Ostrowa. Tam zamieszkali u znajomych. Jej teściowa, Tekla, z mężem i dziećmi: Romanem, Janem, Antonim, Marianną i Heleną znaleźli schronienie w Zamartem koło Okierska. Moi dziadkowie bardzo mocno przeżywali wysiedlenie. Byli właścicielami największego gospodarstwa w Cekcynie, a musieli mieszkać kątem u obcych. Żyli w niepewności... Gospodarstwo odzyskali dopiero w 1945 r.

W 1944 r. jeszcze jedno wydarzenie mocno wstrząsnęło rodziną. Zbliżało się Boże Narodzenie. 23 grudnia, dzień przed Wigilią, Roman poszedł do lasu po choinkę. Długo nie wracał... Zimą wcześniej



Wycinek z gazety „Tygodnik Tucholski”.

się ściemnia... Wszyscy byli bardzo zaniepokojeni i z niecierpliwością wyglądali jego powrotu. Jednak on nie wrócił i nigdy nie dane mu już było przeżywać Świąt Bożego Narodzenia.. Rodzinę powiadomiono, że jego ciało leży w lesie. Został zastrzelony przez Niemców, którzy podejrzewali, że jest partyzantem. Moja babcia wspominała, że były to najsmutniejsze święta w jej życiu. Cała rodzina bardzo przeżyła tragiczną śmierć Romana. Myślę, że takich przypadkowych śmierci było wiele. W czasie wojny wszystko, co najgorsze, jest możliwe.

Moja babcia zmarła 20.03.2008 r. Była to ogromna strata. Babcia wiele razy opowiadała o wojnie, swoich przeżyciach z nią związanych. Nigdy nie uprzedzała nas do Niemców. Uważała, że ludność niemiecka tak samo przeżywała wojnę, ponieważ Niemcy prześladowali również swoich obywateli. Do Cekcyna prawie co rok przyjeżdżają Niemcy w ramach wymiany sportowców. Rozgrywają mecze piłki nożnej, piją razem piwo, rozmawiają, zawierają przyjaźnie... Nigdy nikt ich nie traktował u nas źle i oni również traktują nas dobrze... To, że kiedyś było inaczej, nie oznacza, że na wieki musi dzielić nas wrogość. Zmieniają się pokolenia a wraz z nimi ich podejście do świata. Myślę, że współcześni Niemcy wstydzą się czynów przodków. Są jednak osoby, które nie potrafią wybaczyć Niemcom tego, co uczynili. Ich rany wciąż się nie zabiły.

Parę lat temu byłam w Lübtheen w Niemczech, razem z orkiestrą „Campanella”. Miejscowość budziła w nas zachwyty. Wszyscy byli dla nas uprzejmi. Bardzo podobał nam się tamtejszy porządek, punktualność...

Uważam, że takie kontakty bardzo wiele dają – zawiera się nowe znajomości, szlifuje język obcy... Należy zachować pamięć o poległych, pomordowanych, zaginionych, pokrzywdzonych... Cenić ich poświęcenie, wiedzieć, co się wydarzyło, lecz wydarzenia z II wojny światowej nie powinny odbijać się na naszych stosunkach z Niemcami. Myślę, że warto utrzymywać dobre kontakty z „sąsiadami”. Mam jednak nadzieję, że nasza

wiara i nadzieja w nich pokładana nie zostaną zawiedzione, żeby nigdy więcej, żaden Polak nie musiał przeżywać tego, co wydarzyło się w latach 1939-1945. Wybaczajmy, lecz pamiętajmy ...

<sup>1</sup> „Czas to ludzie, bo to ludzie tworzą czasy, dobre lub złe”, Św. Augustyn

<sup>2</sup> „Express Bydgoski” – 31.01.1997r. – „Saga rodu Karwaszów”

JOANNA RUDZKA

## Polska pod okupacją niemiecką

W sierpniu 1939 r. Niemcy i ZSRR zawarły układ, na mocy którego dokonano podziału Polski na dwie strefy okupacyjne. Niemcy podzieliły ziemię polską na dwie części, z których jedną wcieliły do państwa niemieckiego, a z pozostałych ziem utworzono Generalne Gubernatorstwo. Polityka III Rzeszy na ziemiach polskich miała doprowadzić do zgermanizowania tych terenów. W latach 1939-41 wysiedlono 650 tys. Polaków do Rzeszy i Austrii na przymusowe roboty, a na ich miejsce sprowadzono osadników niemieckich z terenów Związku Radzieckiego i krajów nadbałtyckich. Dla Polaków na terenach wcielonych do Rzeszy wprowadzono cały system nakazów i zakazów: sądy doraźne, łapanki, wywózki, rozstrzeliwania, osadzanie w więzieniach, publiczne egzekucje czy wywóz do obozów koncentracyjnych.

Przytoczone powyżej informacje stanowią wywód podręcznikowy. Czytając tekst mojego podręcznika do historii dotyczący okupacji niemieckiej na ziemiach polskich nie czuje się żadnych emocji. Czytelnik nie identyfikuje się z osobami zabitymi, katowanymi, prześladowanymi. To taki sam tekst, jak inne wydarzenia historyczne z innych konfliktów zbrojnych. Żeby poznać i zrozumieć lepiej tamte wydarzenia należy sięgnąć do opracowań związanych z regionem, poznać ludzi, którzy jeszcze żyją i mogliby opowiedzieć o tamtych czasach.

Trudno jest jednak wrócić wspomnieniami do czasów wojny, do lat strachu, niewoli, niepewności jutra, głodu, bólu, troski o bliskich. Zebranie mate-

riałów dotyczących tego tematu jest obecnie bardzo trudne, ponieważ odchodzą od nas świadkowie tamtych wydarzeń, nasi pradziadkowie, dziadkowie. A ci, którzy żyją, często nie chcą wracać pamięcią do tych okrutnych, nieludzkich czasów. Celowo wymazują z pamięci tortury, bicia, prześladowania, śmierć bliskich. W naszych rodzinach znajdują się również świadkowie lat wojny i okupacji, którzy są sparaliżowani, bardzo chorzy i chociaż chcieliby, to często nie mogą już nam przekazać żadnych informacji o swoich losach. Tak jest w wielu rodzinach. Tematyka konkursu bardzo mnie zainteresowała, ponieważ losy mojej rodziny związane były z wydarzeniami II wojny światowej.

Moja babcia Halina Janiszewska (mama mojej mamy) urodziła się w obozie niemieckim w Alfeld podczas wojny. Jej rodzice a moi pradziadkowie poznali się i pobrali na robotach w Niemczech. Ich historia jest bardzo interesująca, ale trochę niepełna. Moja babcia Halina, od której mogłabym uzyskać mnóstwo cennych informacji zmarła nagle 31 maja 2007 r. Mój pradziadek (tata mojej babci), od którego pochodzą informacje, zmarł niedawno. To, co udało mi zebrać od mojej mamy, która pamiętała różne fakty z opowiadań pradziadka i babci, przedstawiam poniżej. Udało mi się za to zebrać dużą ilość pamiątek z okresu pobytu w obozie pracy. Niektóre przedstawiam w załącznikach.

Mój pradziadek Bronisław Pytelewski był tatą mojej babci Haliny Janiszewskiej ze strony mojej mamy. Urodził się 11 października 1914 roku we wsi Sura-



dówek, powiat lipnowski. Z pierwszego małżeństwa prapradziadka Bronisław miał dwie starsze siostry: Władysławę (21.I.1912 – 27.VI.1990) i Apolonię (1913 – 24.III.1997). Z drugiego małżeństwa swojego taty z Martą Kazimierą pradziadek miał dwóch braci: Antoniego i Wiesława. Z pięciorga rodzeństwa już nikt nie żyje. Dnia 20 listopada 2008 r. zmarł mój pradziadek Bronisław.

Chociaż w domu rodzinnym nie było biedy, pradziadek cierpiał z powodu braku matki, która zmarła w 1922 r., gdy był kilkuletnim chłopcem. Ze wspomnień wynika, że cierpiał na chorobę sierocą. Matkochocha niechętnie zajmowała się „nie swoim” synem, a przyrodni bracia często mu dokuczali. Ukończył trzyklasową szkołę powszechną w Suradówku. Dalszej nauki nie mógł kontynuować ze względu na znaczną odległość do najbliższej szkoły sześcioklasowej w Lipnie. Do chwili odbycia służby wojskowej pomagał ojcu w 30-morgowym gospodarstwie. Wojsko odsłużył w 14 Pułku Piechoty we Włocławku. Wykształcenie podstawowe uzupełnił kończąc szkołę podstawową siedmioklasową w Lipnie w latach pięćdziesiątych XX wieku, już po zakończeniu II wojny światowej.

Po odbyciu służby wojskowej pradziadek wrócił do Suradówka. Dnia 31 sierpnia 1939 r., został zmobilizowany do wojska i wraz z kolegą udał się pieszo do Lipna, gdzie był punkt zbiorczy. Następnie z innymi zmobilizowanymi przebył pieszo drogę do Włocławka. Od tego momentu uczestniczył w walkach z Niemcami. Zmierzając razem ze swoim oddziałem w kierunku Warszawy został ranny od kuli niemieckiej pod Sochaczewem. Prawie miesiąc leżał w szpitalu. We wrześniu został wywieziony do Niemiec. Od 28 września 1939 r. do 15 listopada 1939 r. przebywał w obozie jenieckim Fallingbomel Stalag II B w okręgu wojskowym XI w Hanowerze. W obozie tym przebywało kilka tysięcy polskich podchorążych, podoficerów i szeregowców. Obóz położony był na terenach bagnistych. Jeńców polskich zatrudniano przy osuszaniu bagien i wydobywaniu torfu. Panowały tam nieludzkie warunki. Praca była bardzo ciężka, a racje żywnościowe głodowe.

Warunki życia poprawiły się nieznacznie, kiedy w dniu 16 listopada 1939 r. został przydzielony do dużego gospodarstwa rolnego jako jeńiec – robotnik rolny u bauera Alfreda Kreipe w Sehlen obwód Alfeld-Leine. Początek pobytu był dla pradziadka bardzo



B. Pytelewski podczas służby wojskowej w 1935 r.



Pradziadek Bronisław – numer obozowy 3918 w 1939 r.

trudny. Nie znał języka niemieckiego. Więc był duży problem ze zrozumieniem poleceń niemieckich. Jedynym pocieszeniem było to, że nie zginął i że w tym samym gospodarstwie znaleźli się inni Polacy, przydzieleni do prac w tym właśnie gospodarstwie.

Było ich ponad 50 osób. W dzień pracowali w różnych gospodarstwach, a na noc szli spać do baraków. Były tam baraki oddzielne dla mężczyzn i kobiet. Mój pradziadek wykonywał wszystkie prace u gospodarza Kreipe. Musiał zajmować się końmi, powoził nimi, jeździł na pole, pracował przy sianokosach, żniwach. Prace gospodarskie związane były z porą roku. Na wiosnę pradziadek razem z innymi jeńcami wojennymi siał zboże, latem i jesienią zbierano plony, zimą była praca przy zwierzętach w oborze. Posiłki spożywał u gospodarza, naturalnie nie razem z rodziną niemiecką. Jeżeli ktoś dobrze pracował, to Niemcy nie bili za byle co swoich pracowników. Pradziadek pracował za darmo, była to praca niewolnicza.

We wrześniu 1939 r. otrzymał swój numer jeniecki - 3918. Posiadał specjalną „Legitymację jeńca wojennego”, bez której nie mógł się nigdzie ruszyć. Poruszanie się po mieście Sehlen było przez Niemców ograniczone. Jeńcy pracowali tylko w gospodarstwach. Do ubrania każdy Polak miał naszytą specjalną naszywkę z numerem obozowym.

Pradziadek nie wspominał często o tym, że Niemcy go bili. Najtrudniejsze były początki, kiedy uczył się niemieckiego. Jeżeli czegoś nie zrozumiał, to często dostawał batem po plecach. Był jednak pojętym uczniem i bardzo szybko opanował podstawy języka niemieckiego. Z upływem czasu jego pozycja w gospodarstwie wzrosła, ponieważ pradziadek wróżył z kart swoim kolegom. Pewnego razu to wróżenie zauważyła gospodyni. Nie wymierzyła za to kary, ponieważ Polacy odpoczywali po dobrze wykonanej pracy w gospodarstwie. Następnego dnia poprosiła pradziadka do siebie do kuchni i kazała postawić sobie karty. Bardzo martwiła się o swojego syna, który walczył na froncie wschodnim i od którego nie miała żadnych wiadomości. Pradziadek powiedział jej wtedy, że niedługo może spodziewać się jakiejś wiadomości od swojego syna i że syn jej żyje. Po jakimś czasie gospodyni faktycznie otrzymała list od syna. Co było w tym liście pradziadek już się nie dowiedział, ale wiadomości o „przepowiedaniu przyszłości przez jakiegoś Polaka” rozeszła się szybko po całym Sehlen i pradziadek za przyzwoleniem swoich gospodarzy wróżył innym Niemcom. Musiał to robić bardzo ostrożnie i z dużym wycuciem, żeby nie zrobić nieraz zbyt dużych nadziei, ponieważ mogłoby to się skończyć dla niego bardzo źle.



Prababcia Eugenia  
w 1939 r.

W czasie pobytu w niewoli pradziadek poznał moją prababcie Eugenię Gulczyńską. Została ona wywieziona wraz z szesnastoletnim bratem Ignacym w dniu 10 sierpnia 1940 r. z domu rodzinnego w Lubstowie, pow. Koło. Prababcia Eugenia, z domu Gulczyńska, urodziła się 12 kwietnia 1916 r. Jako nastolatka występowała w regionalnym zespole „Nadobne Lubstowianki”, który zajmował czołowe miejsca na przeglądach zespołów folklorystycznych (otrzymał nagrodę we Włocławku). Prababcia bardzo ładnie śpiewała.

Akcja wysiedlenia prababci Geni odbyła się wczesnym rankiem. Wszyscy w domu byli tym zaskoczeni. Do domu wpadło dwóch Niemców z krzykiem. Niemcy złapali moją prababcie Eugenię i jej brata Ignacego i wsadzili do samochodu. Następnie wraz z innymi Polakami zostali przewiezieni do Włocławka. Po tygodniowym pobycie w koszarach we Włocławku w nocy załadowano ich do wagonów towarowych, zaryglowano i odrutowano drutem kolczastym, żeby czasem nikt nie uciekł. Na cały wagon otrzymali 10 bochenków starego chleba. Transport ruszył w nieznaną stronę. Podróż trwała pięć dni. W końcu pociąg zatrzymał się na nieznanej stacji. Gdy otworzono drzwi wagonów wszyscy zobaczyli żołnierzy niemieckich. Pod eskortą wojska zaprowadzono Polaków na duży plac. Tam czekali chyba z pięć godzin zmarznięci i głodni. Nie wszyscy współwięźniowie dojechali na miejsce. Część nie wytrzymała trudów podróży i zmarła w wagonach.

Prababcia Eugenia pracowała w gospodarstwie Karla i Eleonory Steinbor w Sehlen przez trzy lata. Prababcia wykonywała różne prace w oborze przy





Prababcia Genia w 1939 r. w Sehlen

zwierzętach oraz w kuchni jako pomoc kucharki. Moi pradziadkowie spotykali się od czasu do czasu, a kiedy moja prababcia zaszła w ciążę, to została wysłana do Obozu Alfeld-Leine przy ulicy Gotindenstraße 56. W obozie tym przebywały kobiety ciężarne i po urodzeniu dzieci. Mimo zaawansowanej ciąży wszystkie kobiety z tego obozu przymusowo musiały pracować. Moja prababcia pracowała w fabryce amunicji. Moja prababcia, podobnie jak pradziadek, bardzo szybko nauczyła się języka niemieckiego. Z opowiadań babci wiem, że warunki pracy były bardzo ciężkie. Prababcia

nie mogła nawet na chwilę usiąść. Jej „szefowa” ciągle coś wymyślała do pracy. Prababcia miała bardzo miłe, wesołe usposobienie, więc znosiła z pokorą te wszystkie wymyślane prace. Gospodyni kazała jej np. umyć podłogę w kuchni, którą dopiero umyła. Pradziadek nic nie wspominał o biciu prababci - a może nie chciał przekazywać mi takich smutnych informacji. Wspomnienie wojny było dla mojego pradziadka bardzo trudne.

W dniu 13 maja 1944 r. urodziła się moja babcia Halina Pytelewska. Moi pradziadkowie ślub wzięli dopiero 19 maja 1945 r. w Alfeld, w strefie amerykańskiej, ponieważ Niemcy zabraniali zawierania związków małżeńskich niewolnikom. 27 maja 1945 r. moja babcia została ochrzczona. Chrzestnymi byli: siostra pradziadka Władysława Gajewska (również wywieziona na roboty do Niemiec, po wyzwoleniu dopiero odnalazła brata Bronisława) i brat prababci Ignacy Gulczyński.

Po wyzwoleniu aż do momentu wyjazdu do Polski pradziadkowie przebywali w Alfeld w strefie amerykańskiej. Mogli wyjechać do USA. Amerykanie chętnym wydawali wizy, z czego korzystało wielu Polaków i obcokrajowców. Pradziadkowie nie chcieli wyjeżdżać, wrócili do kraju pod koniec kwietnia 1946 r. drogą morską, statkiem „Batory” płynąc z Lubeki do Gdyni.

Najpierw skierowali się do domu rodzinnego prababci Eugenii, gdzie powróciło również pozostałe rodzeństwo z wojennej tułaczki. Następnie udali się w rodzinne strony pradziadka. W sierpniu 1946 r.



Sehlem 1942 r. - Stanisław Bartosiewicz, Władysław Waligóra, Jan Świder, Franja, Zosia i inni. Na dole pierwszy od lewej mój pradziadek Bronisław Pytelewski.



Metryka ślubu wystawiona przez władze niemieckie w 1945 r.

**Traunungs-Urkunde**

Am 19. Mai 1945 wurden in Peřest-Leina  
laut Traubuch Band I Seite 52 Nr. 14 nach römisch-kath. Kirchenordnung getraut  
Sohn von Gruno Pysalski  
geboren am 11. 10. 1914 in Suradonok  
wohnhaft in Peřest Standes, röm. Kathol. Bekenntnisses  
und Eugenia Gulezyńska  
Tochter von Jakob Gulezyński mit Maria geb. Janicka  
geboren am 10. 3. 1911 in Przybyłowo, Kr. Kol.  
wohnhaft in Peřest-L. Standes, röm. Kathol. Bekenntnisses  
Gebühr 00 1945.  
Kath. Pfarramt  
Engelke, Farnen

C. W. Rau, Buchdruckerei u. Verlag, München, Gr. Zahlstr. 56

w Suradówku zmarł mój prapradziadek Bronisław – tata mojego pradziadka. Pradziadkowie osiedlili się w Radomicach, gdzie kupili 5 hektarowe gospodarstwo rolne. Mieszkali tam do 13 września 1964 r. Od 14 września 1964 r. zamieszkali w Lipnie, gdzie mieszkał mój pradziadek Bronisław. Pradziadkowie mieli 5 dzieci, trzy córki: Halinę, Jadwigę i Jolantę i dwóch synów: Michała i Mariana. Pradziadek od 1948 r. pracował sezonowo w krochmalni w Radomicach. Od 1957 r. do 1972 r. pracował w Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Lipnie. W latach 1972–1976 był sanitariuszem w Powiatowej Kolumnie Transportu Sanitarnego w Lipnie. W sierpniu 1976 r. podczas jednego z wyjazdów karetki pogotowia do pacjenta uległ wypadkowi. Od tego czasu przebywał na rencie inwalidzkiej, a po osiągnięciu odpowiedniego wieku przeszedł na emeryturę.

Pradziadek był członkiem Związku Kombatantów Rzeczypospolitej Polskiej i Byłych Więźniów Politycznych od lat 60-tych XX wieku. W dniu 17 stycznia 2001 r. prezydent Rzeczypospolitej Polskiej mianował pradziadka na stopień podporucznika Wojska Polskiego. W 2004 r. otrzymał od władz okręgowych we Włocławku dyplom uznania za aktywną współpracę społeczną ze Związkiem Kombatantów Rzeczypospolitej Polskiej i Byłych Więźniów Politycznych.

Moja prababcia Eugenia nie pracowała zawodowo. Zajmowała się domem i dziećmi. Udzielała się w Lidze Kobiet w Lipnie. Często brała udział w spotkaniach,

podczas których była zawsze proszona o zaśpiewanie kilku piosenek. Prababcia posiadała niezwykły talent muzyczny. Kiedy zbierałam materiał do tej pracy, mama włączyła mi kasetę z piosenkami prababci, którą sama nagrywała. Choć piosenki były bez podkładu muzycznego, były piękne i melodyjne, śpiewane po włosku, francusku i polsku, chociaż babcia nie znała języków obcych, poza poznany w czasie okupacji niemieckim. Prababcia pięknie haftowała. Moją mamę nauczyła wyszywać, szydełkować, robić na drutach. Podziwiałam chusty i obrusy prababci przechowywane w naszym domu jako pamiątki rodzinne po prababci. Prababcia była bardzo ciepłą i serdeczną osobą. Bardzo kochała wszystkie swoje dzieci i wnuki. Mama wspominała, że często radziła się babci w różnych sprawach. Prababcia mieszkała dwa domy ode mnie, dlatego moja mama bardzo często ją odwiedzała – obowiązkowo codziennie po szkole. Nawet w czasie studiów w Toruniu, chociaż moja mama przyjeżdżała tylko na jeden dzień, zawsze odwiedzała swoją babcie. W czasie odwiedzin u prababci pradziadek Broniek dawał się nieraz namówić na wróżenie z kart. Mama była tymi wróżbami zachwycona. W ten sposób pradziadek wywróżył mojej mamie dwójkę dzieci – córkę, czyli mnie i syna, czyli mojego brata Marka. Prababcia Eugenia zmarła 21 lipca 1994 r. Po śmierci prababci pradziadek został sam, był chory. Mieszkała z nim najmłodsza córka z rodziną aż do śmierci pradziadka 20 listopada 2008 r.

Poniżej chciałabym przedstawić, chociaż w skrócie, losy wojenne rodziny ze strony mojego dziadka Kazika, taty mojej mamy. Chciałabym zaprezentować losy mojej prababci Janiny Janiszewskiej, jej męża Czesława Janiszewskiego i jej brata ze strony mojego dziadka Kazimierza Janiszewskiego czyli losy Stanisława Chojnackiego. Poniższe informacje otrzymałam od mojej prababci Janiny Janiszewskiej dziadka Kazimierza Janiszewskiego. Zebrany materiał najpierw spisałam w postaci luźnych notatek, później uporządkowałam chronologicznie. Brat prababci Janiny – Stanisław jeszcze żyje i mieszka w Kwidzynie, podobnie jak moja prababcia Janina. Dziadek Kazik mieszka w Lipnie.

Moja prababcia Janina z domu Chojnacka urodziła się 6 marca 1926 r. w Józefkowie, we wsi oddalonej od Lipna, miasta powiatowego o 7 km. Stanisław Chojnacki urodził się w 1929 r. w Józefkowie, gdzie mieszkał razem z rodzicami i rodzeństwem: Janem, Jerzym, Ireną, i Janiną. W czasie II wojny światowej zatrudniony był przy różnych pracach w rejonie Lipna i okolicy.

Dzieciństwo prababcia wspomina bardzo dobrze. W ich domu było pięcioro dzieci, ale wszystkie zadbane, ubrane i nie chodziły głodne. Do chwili wybuchu wojny babcia i jej rodzeństwo chodzili do szkoły. Wybuch wojny w 1939 r. przerwał naukę. W pierwszej połowie września 1939 r. Niemcy wkroczyli do sąsiedniego Lipna i okolicznych wsi. Na drogach nawet w takiej małej wsi, jak Józefkowo było widać przejeżdżające samochody wojskowe, motocykle z przyczepami i żołnierzami niemieckimi w hełmach, z karabinami maszynowymi. Dzieci już nie mogły chodzić do szkoły, zaczęła się okupacja hitlerowska. Między 21.00 a 5.00 obowiązywała godzina policyjna. Rozpoczęły się egzekucje Polaków. Wydawało się, że na wsi ludzie są bardziej bezpieczni, tak mówiła praprababcia Teodora, nie chcąc martwić dzieci, ale okazało się, że to nieprawda. W październiku 1939 r. były kolejne aresztowania. Z całego powiatu lipnowskiego zwołano do Lipna wszystkich nauczycieli a następnie ich aresztowano. Szkoły Niemcy pozamykali. Również księży nie ominęły represje, aresztowano ich i skierowano do Torunia. Aresztowano i wywieziono w nieznanym kierunku właścicieli majątków ziemskich z powiatu. Pod koniec 1939 r. władze niemieckie wprowadziły specjalne karty na mięso i tłuszcze

a potem na mąkę i chleb. Czekolada, cukierki nie były dostępne dla ludności polskiej.

Od lutego 1940 r. wszystkie osoby dorosłe i dzieci powyżej 16 roku życia mieli zgłosić się do urzędu pracy. Początkowo rekrutację prowadzono przymusowo, ale potem, kiedy Polacy nie zgłaszali się do pracy, zaczęto na siłę zabierać młodzież nawet z całej wsi, szukano uciekinierów w lasach. Część tej młodzieży wysyłano na roboty do III Rzeszy a część przeznaczano do prac, często fortyfikacyjnych, w rejonie zamieszkania.

W urzędzie pracy praprababcia Teodora dostała dowód tożsamości tzw. Ausweiskarte. Nieposiadanie jej karane było więzieniem lub karą finansową. Idąc przez wieś nie widać już było żadnych oznak polskości, podobnie jak w sąsiednim Lipnie i innych miastach. Nazwy zastąpiono niemieckimi. Nie można było nosić nawet polskich czapek. Nie wolno było siadać na ławkach publicznych, nabywać ubrań i obuwia, z wyjątkiem odzieży roboczej i obuwia drewnianego. Nie wolno było jeździć rowerami, z wyjątkiem robotników udających się do pracy. Nie można było posiadać radia, gramofonu i płyt.

Bracia prababci Janiny, czyli Stanisław, Jerzy i Jan, chociaż byli jeszcze dziećmi, często byli przez Niemców zatrudniani do różnych prac, np. przy zbieraniu kamieni. Za ociążanie się w pracy dzieci były bite.

Na wsi w dalszych latach wojny za dużo się nie zmieniło. Chociaż to była tylko wieś, to Polakom zabraniano gromadzenia się.

Bardzo smutnym wydarzeniem z czasów wojny była śmierć wuja prababci Janiny Pawłowskiego (imię zapomniała), który w 1944 r. został wywieziony do Żuchowa przez Niemców i tam w pobliżu młyna został zamordowany. Również pod koniec wojny zamordowany został brat prababci Janiny Jan.

W czasie wojny prababcia Janina poznała mojego pradziadka Czesława Janiszewskiego. Była to miłość od pierwszego wejrzenia, jak powiedziała prababcia. Jeszcze w czasie wojny w 1944 r. pobrali się. Prababcia przeprowadziła się do mojego pradziadka Czesława, który mieszkał w Lipnie.

W styczniu 1945 r. nastąpiła upragniona wolność. Niemcy po prostu uciekali przed zbliżającymi się Rosjanami. Radość całej rodziny była ogromna. Koniec okupacji, strachu, płaczu, cierpienia i niepewności. W końcu nadejdą lepsze dni – normalne dni. Nagle

Legitymacja członkowska Stowarzyszenia Polaków poszkodowanych przez III Rzeszę Haliny Janiszewskiej.



ktoś zapukał do drzwi. Praprababcia Teodora otworzyła je. Stali tam Niemcy. Pokazali ręką na brata prababci Stasia i kazali mu z nimi iść. Brat prababci Janiny tak to wspominał według relacji dziadka Kazika:

„Schwyłem w biegu kurtkę i buty i poszedłem z Niemcami. Kazali mi zaprzęgać konia do wozu, na którym były już przygotowane różne rzeczy niemieckie. Na wozie siedziała kobieta i chłopiec niemiecki w wieku około 7 lat. Kazali mi powozić konia i ruszać w kierunku Torunia. Przestraszyłem się okropnie. Nie wiedziałem, co ze mną będzie. Po kilku godzinach ciężkiej jazdy drogą, po której było widać więcej takich wozów, jakim ja powoziłem i dużo ludzi idących pieszo, dotarliśmy do Torunia. Przespaliśmy się i rano ruszyliśmy dalej. Przeraziłem się wtedy nie na żarty. Niemcy kazali mi jechać dalej. Jechałem tak i jechałem, aż dotarliśmy do granicy Polski z Niemcami. Wtedy pomyślałem, że mi pozwolą wrócić do domu, ale nie. Musiałem ich zawieźć prawie aż pod sam Berlin. Podróż była okropna. Prawie nie dawali mi jedzenia, mało piłem. Ciągle na mnie krzyczeli. Jak dotarliśmy na miejsce Niemiec ruchem ręki pozwolili oddalić mi się od wozu. Byłem przerażony. Sam w obcym państwie, bez jedzenia, picia i nie wiedziałem, jak wrócić do domu. Postanowiłem iść tak, żeby nie iść głównymi drogami. Zawsze kilka metrów obok. Szedłem całymi dniami. Nocą nieraz udawało mi się coś znaleźć na polu a w dzień wędrowałem dalej. Już nie miałem siły. Kiedy dotarłem do Polski czułem się bezpieczny. Przechodząc przez wieś wszedłem do pierwszego lepszego zabudowania. Powiedzia-

łem, kim jestem i skąd wracam. Gospodarz dał mi kromkę chleba i mleka od krowy. Pozwolił przespać się w stodole. Tak wędrowałem jeszcze wiele dni. Wycieńczony dotarłem do rodzinnej wsi. Wojna dla mnie nareszcie się skończyła”.

Po wojnie prababcia Janina i pradziadek Czesław mieszkali w Lipnie w tzw. Koszarach (obecnie jest to ul. Wyszyńskiego). W dniu 22 stycznia 1945 r. urodził się mój dziadek Kazimierz. Prapradziadek Bronisław urodził się 16 października 1899 r. a zmarł 21 kwietnia 1968 r. Prababcia Janina, jej brat Stanisław Chojnicki i siostra Irena nadal mieszkają w Kwidzynie.

Na podstawie zgromadzonego materiału nie widzę w relacjach polsko-niemieckich przedstawionych przez członków mojej rodziny wielkiej nienawiści i wrogości. Wydaje mi się, że część informacji usunęli z pamięci. Nie chcieli się nimi podzielić. Odniosłam wrażenie, że pradziadek Bronek i prababcia Janina opowiadając swoje historie nie chcieli nikogo oskarżać, za los, jaki ich spotkał w czasie wojny. W latach siedemdziesiątych XX wieku do znajomych moich pradziadków, państwa S. przyjeżdżała rodzina z Niemiec – E. H. Sch. Pradziadkowie byli często zapraszani do sąsiadów na spotkania, podczas których rozmawiali po niemiecku, żartowali, dyskutowali. Wydaje mi się, że byli nawet zadowoleni ze znajomości języka niemieckiego i znajomości z tymi Niemcami. Zapraszali ich nawet do swojego domu.

Na przykładzie najstarszych członków mojej rodziny widać, że lata wojny poszły już w zapomnienie. Pradziadkowie i dziadkowie skupili się na codziennym





Sehlen – Szefowa Eleonora Steinbor z córką – lata 90 XX wieku.

życiu, nie żywiąc urazy do narodu niemieckiego. Zastanawiam się nieraz, dlaczego my – młode pokolenie - jesteśmy tak negatywnie ustosunkowani do Niemców jako narodu. Nie przeżyliśmy wojny, jak nasi bliscy. Historię stosunków polsko-niemieckich znamy z lekcji historii, prasy, telewizji, a mimo to często słyszę niepochebne słowa na temat Niemców. Mój stosunek do narodu niemieckiego jest pozytywny. Związane to być może jest z tym, że siostra mojego taty Andrzeja – Elżbieta wyszła za męża za Niemca A. P. Często przyjeżdżają do nas. Wujek Aloys jest sympatyczny, wesoły, ciągle uśmiechnięty. Choć nie mogę się z nim za bardzo porozumieć (znam tylko kilkanaście słówek niemieckich a on tyle samo polskich), to nasze relacje są prawidłowe.

Tematyka konkursu bardzo mnie zainteresowała. Moje badania terenowe były czasochłonne, ale sprawiły mi niezwykłą satysfakcję. Dużo jeździłam z rodzicami, udało mi się pożyczyć część zdjęć do skanowania, które potem musiałam odwieźć. Poszukiwania prowadziłam na cmentarzach, gdzie robiłam

liczne zdjęcia. Okazało się, że chociaż nie zdawałam sobie z tego sprawy moja rodzina związana jest ściśle z wydarzeniami wojennymi. Ze względu na ograniczoną objętość pracy przedstawiłam losy rodziny ze strony mojej mamy, chociaż losy wojenne rodziny ze strony taty są równie interesujące. Przychodzi mi na myśl maksyma ks. Twardowskiego „Śpieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą”. My, młodzi ludzie, nie zdajemy sobie sprawy, że każdy z nas kiedyś odejdzie, a im człowiek starszy, tym szybciej go nam zabraknie. Dlatego powinniśmy czynić starania, aby poznać losy naszych bliskich, niekoniecznie związane z takimi przykrymi wydarzeniami, jak wojna, ale życie ludzi w ogóle. Jak żyli, jakie mieli usposobienie, czy odwiedzali się nawzajem, itd. Podczas poszukiwań informacji do tej pracy okazało się, że ludzie starsi nie pamiętają często, gdzie pochowani są ich rodzice, o dziadkach już nie wspominając. Kończąc krótką wojenną historię mojej rodziny chciałabym przekazać swoją maksymę : „Śpieszmy się poznawać nasze korzenie, ludzie tak szybko odchodzą”.

## Wczoraj Niemcy, dziś Ślązacy, jutro Polacy?

Chroszczütz, Rutenau to nazwy, które utrwaliły się w pamięci moich przodków określające niewielką wieś, w której mieszkali. Skąd się wzięły? Dlaczego funkcjonowały? Odpowiedzi na te pytania odnajdujemy w zawilej historii Chróścic. Bez przytoczenia pewnych faktów z dziejów Śląska Opolskiego, nie zdołam w pełni uzasadnić postaw, jakimi charakteryzują się mieszkańcy tych regionów wobec Niemców.

O związku chróściczian z narodem niemieckim pisał w swej książce ojciec Henryk Kałuża, który jest znanym w naszej miejscowości badaczem przeszłości Śląska. Z jego relacji dowiadujemy się, że pierwsi książęta śląscy wiązali się z niemieckimi księżniczkami, na przykład książę śląski Władysław z księżną Agnieszką. Szczególną popularnością wśród okolicznych mieszkańców cieszyła się Jadwiga Śląska, która dzisiaj jest patronką tutejszego Kościoła. W powszechnej opinii uważa się ją za inicjatorkę osiedleńczego ruchu Niemców na Śląsku. Warto wspomnieć, że już pierwsza wzmianka o Chróścicach z roku 1268 naznaczona była silnym niemieckim akcentem, bowiem dotyczyła nadania wsi prawa magdeburskiego. W czasach podziału Królestwa Polskiego na księstwa dzielnicowe Śląsk uważany był za najlepiej rozwiniętą gospodarczo i cywilizacyjnie dzielnicę. Jego utrata w XIV w. była dużym ciosem dla młodego państwa.

Chróścice niewątpliwie skorzystały na przynależności do Prus. Powstał w nich kościół, prowadzony przez księży, których nazwiska wskazują na ich niemieckie pochodzenie (m.in. Antoni Renner, Gustaw Maiss). Po I wojnie światowej podczas plebiscytu w 1921 większość mieszkańców Chróścic opowiedziała się za przynależnością do Niemiec (ok. 2/3). Ta postawa nie była nieuzasadniona, bowiem w tym czasie realizowano szeroko zakrojone inwestycje, jak budowa śluzy na Odrze, wiatraka (znajduje się w Muzeum Wsi Opolskiej w Bierkowicach) i młyna. Wielu ludziom odpowiadało życie w kraju wyżej rozwiniętym i tylko nieliczni chróściczanie (jak Augustyn Kośny zamordowany przez hitlerowską bojówkę) chwyтали za broń podczas powstań śląskich.

Przychylną postawę do swych rodaków (jak określano Niemców) demonstrowano na różne sposoby. Głośne stało się wystąpienie działaczy niemieckiego stowarzyszenia DFK z Chróścic na mszy św. w Krzyżowej (1989 r.). Trzymany przez nich transparent odwoływał się do „hitlerowskiej” nazwy miejscowości Ruthenau obowiązującej w czasie II wojny światowej.

Historia stworzyła podatny grunt dla krzewienia się w mojej miejscowości i jej okolicach wzorców niemieckich. Niemcy do dziś pozostają przedmiotem idealizacji, o czym świadczą wypowiedzi moich rozmówców w przeprowadzonych wywiadach. Mieszkańcy okolicznych terenów sami siebie uważają za „nację pośrednią” pomiędzy Polakami a ich zachodnimi sąsiadami i nie czują się częścią którejkolwiek z tych narodowości. Zazwyczaj określają się mianem Ślązaków. W oparciu o rozmowy przeprowadzone z członkami mojej rodziny i własne doświadczenia postaram się udowodnić tezę, iż Ślązacy to w istocie obywatele Polski, krytyczni wobec własnego kraju, hołdujący niemieckim wartościom.

Swoją analizę stosunków mieszkańców Śląska z Niemcami rozpoczęłam od usystematyzowania wiadomości o języku śląskim. Jest to dialekt języka polskiego, odwołujący się jeszcze do języka staropolskiego. Stanowi zlepek wielu języków, z których czerpie jedynie pojedyncze wyrazy. Co więcej, każda wieś mówi swoją własną odmianą. Dużo słów zapożyczonych zostało bezpośrednio z czeskiego i niemieckiego, co świadczy o silnym wpływie kultury niemieckiej i otwartości mojej rodzimej mowy. Uwarunkowane to było historią śląskiego terytorium, na którym „od wieków współistniało i współegzystowało wiele kultur, które kształtowały tożsamość mieszkańców tego obszaru”<sup>1</sup>. O oddziaływaniu języka niemieckiego na kulturę Śląska mówił doktor Matthias Kneip, na wykładach poświęconych tej samej tematyce. Doktor jest autorem książki „Język niemiecki na Górnym Śląsku. Badania politycznej roli języka niemieckiego jako języka mniejszości

w latach 1921-1998". Powiedział on, że zdarza się: „... że Górnoszlązak mówiący po niemiecku z przekonania czuł się Polakiem, i odwrotnie: Ślązak mówiący gwarą śląską z postawy czuć się mógł Niemcem”<sup>2</sup>.

Niestety mowa ta stopniowo ulega zanikowi, bowiem nie jest praktykowana w miastach i szkołach. Poza tym młodzież poddaje ją obróbce, usuwając niemieckie zwroty. Jeszcze do niedawna śląski wywoływał u osób nie posługujących się nim śmiech, ironiczne, obraźliwe komentarze, a w skrajnych wypadkach agresję. Z takimi reakcjami spotykali się zwykle przebywający w wojsku młodzi Ślązacy. Na szczęście dziś antagonizmy stopniowo zanikają, Ślązacy zaś uważani są za mniejszość etniczną.

Z wypowiedzi moich bliskich wynika, że tak cenione przez nich wartości, którym podporządkowują się Niemcy, to solidność, dobra organizacja pracy, uporządkowanie. Odnoszę wrażenie, że wpływ na takie ich stanowisko ma fakt, że wielu Ślązaków pracowało w Niemczech. Oni o wiele częściej od mieszkańców innych regionów szukają tam zatrudnienia. Przyciąga ich niemiecka kultura, warunki pracy, mała odległość od domu rodzinnego (w porównaniu np. z Wielką Brytanią). W czasach kryzysu układ ten uległ znaczącej zmianie. Prasa donosi, iż Niemcy nie otworzą przed Polakami swojego rynku pracy, mimo że 1 maja br. mija piąta rocznica przyjęcia Polski do Unii Europejskiej, a tym samym upływa okres zakazu zatrudniania dla nowych państw członkowskich. Prawo do pracy w Niemczech Polacy uzyskują za dwa lata, powodem opóźnienia jest strach naszych zachodnich sąsiadów przed kryzysem ekonomicznym. Wiele osób z mojego otoczenia jest zawiedzionych tą informacją.

Dla mnie szczególnie ważne było świadectwo mojego zmarłego dziadka Józefa Kluczny, przedstawione oczami mojej ciotki w wywiadzie, który z nią przeprowadziłam. Już wcześniej wiedziałam co nieco o jego uczestnictwie w II wojnie światowej. Ta rozmowa pozwoliła mi spojrzeć na tę historię z zupełnie innej perspektywy. Oto mój dziadek, który nigdy nie utożsamiał się ze zbrodniami nazistów, został zaciągnięty do wojska, walczył na froncie i ostatecznie uciekł z obozu pracy na Białorusi. To właśnie ta ucieczka dała mi najwięcej do myślenia. Dziadek, mimo że bardzo potrzebował pomocy, nie mógł jej znikąd otrzymać. Właśnie dopuścił się zdrady narodu niemieckiego: nie dosyć, że pozwolił uciec kilkudziesięciu Niemcom,

to sam przyłączył się do ucieczki. Zbrodnie Rosjan wzbudzały w nim zbyt wielki strach, by mógł zwrócić się do nich. Kiedy z kolei, zdawałoby się szczęśliwym trafem, spotyka samochód przewożący więźniów do Polski, rezygnuje z tej możliwości. Ostatecznie wychował się w niemieckiej szkole, nie znał dobrze języka polskiego i sądzę że słusznie spodziewał się, iż kontakty z żądnymi zemsty Polakami nie wróżą mu nic dobrego. To dramatyczne położenie wymusiło na nim konieczność powrotu do rodzinnego domu na piechotę. Przykład Józefa dobrze obrazuje sposób myślenia większości dzisiejszych Ślązaków, stroniących od utożsamiania się z jakimkolwiek narodem, jednocześnie przekonanych, że powinni zawsze liczyć wyłącznie na siebie.

Wydawać by się mogło, że wspólnota języka i terytorium wystarcza Ślązakom do życia w przekonaniu o swojej odrębności etnicznej. Tak jest w Chróścicach i okalających je miejscowościach. Jednakże moi bliscy, mieszkający we wsi Dębska Kuźnia, czują się zdeklarowanymi Niemcami, stale przekonują, że opolskie tereny zostaną jeszcze przyłączone do „ich ojczyzny”. Mam wrażenie, iż w swoich obliczeniach pomijają stanowiska chociażby mieszkańców Opola, którzy w większości nie podzielają ich poglądów. Przejawem ambicji niemieckich zwolenników jest wprowadzenie dwujęzycznych nazw miejscowości w gminie Chrzastowice, będące efektem działań wielu środowisk społecznych. 11 grudnia 2008 roku w Chrzastowicach odbyła się uroczystość odsłonięcia pierwszej tablicy informacyjnej zawierającej dodatkową nazwę miejscowości w języku mniejszości – języku niemieckim. Nowe nazwy które pojawiły się obok polskich, to m. in. dla Chrzastowic - Chronstau, Dańca - Danietz, obok nazwy Dąbrowice - nazwa Dombrowitz, nazwy Dębie - nazwa Dembio, nazwy Dębska Kuźnia - nazwa Dembiohammer.

Poza tym w obrębie samorządu działa Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Niemców na Śląsku Opolskim, a dokładniej struktury terenowe tego Towarzystwa, to jest Zarząd Gminny, jak również Zarządy Kół terenowych, tzw. DFK w poszczególnych miejscowościach gminy. Wszystko to wskazuje na silny związek województwa opolskiego z niemieckim językiem, kulturą i zwyczajami.

Ciekawym doświadczeniem, które zaważyło na charakterze mojej pracy, było spotkanie z Alojzym



Webrem i Gothardem Sochozem, inicjatorami wspomnianej wyżej akcji z transparentem. Pan Sochor jest przewodniczącym DFK Rutenau, czyli Koła Mniejszości Niemieckiej w Chróścicach z siedzibą w Gogolinie (zarejestrowane w lipcu 1989). Obaj dostarczyli mi wiele materiałów na temat działalności tego stowarzyszenia, które za cel obrało sobie pielęgnację ojczystej (niemieckiej) kultury i języka. W obszernych artykułach przedstawiają oni motywy, którymi kierowali się przy zbieraniu podpisów pod wnioskiem o utworzenie koła. Udało im się to – na zebrania przychodziło coraz więcej ludzi, a DFK mogło pochwalić się całą gamą organizowanych imprez i kontaktami z niemieckimi organizacjami. Odbывały się występy orkiestry, kursy języka niemieckiego dla najmłodszych, konkursy, wyjazdy, utworzono niemieckojęzyczną bibliotekę i pomniki upamiętniające ofiary wojen światowych.

Dziś ci ludzie w podeszłym wieku podkreślają, że ich zapał osłabł, a brak kontynuatorów misji krzewienia poczucia niemieckości stawia pod znakiem zapytania działalność stowarzyszenia, którego odpowiedniki istnieją w wielu innych miejscowościach regionu. Pan Gothard wspominał, że był mocno przekonany o powrocie Śląska do Niemiec. Wciąż pamięta powojenne niemieckie prognozy pogody, gdzie na ekranie obecna granica niemiecko-polska długo obejmowała obszar całej śląskiej ziemi przedstawianej z niemieckimi nazwami geograficznymi. Dzięki moim rozmówcom dowiedziałam się, że obszar ten nie był całkowicie wolny od wysiedleń, a w pobliskiej wsi, Dobrzeniu Wielkim, w miejscu dzisiejszego Domu Kultury znajdował się obóz przesiedleńczy założony w 1945 roku. Około 50 zdeklarowanych Niemców uniknęło przymusowej ewakuacji, uzyskując zgodę na „indywidualny wyjazd do Niemiec”.

Z moich spostrzeżeń wynika, iż odwoływanie się do niemieckich korzeni nie wszystkim się podoba. Co ciekawe, najwięcej do powiedzenia na ten temat mają ci mieszkańcy Opolszczyzny, których sprawa podwójnych nazw ponemieckich wsi bezpośrednio nie dotyczy. Spotkałam się także z różnymi krytycznymi ocenami anonimowych osób, wyrażających swój niesmak czy oburzenie. Nie spodziewałam się, że usłyszę takie wypowiedzi z ust uczniów uczęszczających do szkoły w Chróścicach. Rozmawiałam z osobami, które kończąc wyliczankę obraźliwych epitetów pod

adresem Niemców, zaczęły zapewniać mnie o swojej tolerancyjności względem innych, mimo że nie prosiłam ich o takie deklaracje. Aczkolwiek młodym ludziom trudno było uzasadnić swoje stanowisko względem Niemców. Najczęściej pojawiające się tłumaczenia to: „po prostu ich nie lubię” czy „mają lepiej niż my”. Jako powód często podawano także trudność w przyswajaniu języka niemieckiego nauczanego w Zespole Szkół w Chróścicach na poziomie rozszerzonym. Sądzę, że te opinie wynikają z nieznamomości narodu niemieckiego.

Osoby posiadające niemieckie korzenie lub utrzymujące kontakty z rodziną w Niemczech znacznie częściej wyrażały swą sympatię do społeczności tego państwa. Zdecydowanie przeważały postawy obojętności, przytaczane przeze mnie skrajnie negatywne sądy należały do rzadkości. Można jedynie wyobrazić sobie, jakie byłyby wyniki tej ankiety w środowisku Polaków całkowicie pozbawionych powiązań z Niemcami. Tymczasem przytoczone przeze mnie przykłady dotyczą reakcji, które szczególnie utkwiły mi w pamięci i nie zawsze są zgodne z moimi odczuciami.

Bezpośrednia analiza opisanych przeze mnie wyników sondażu dostarczyła wiele formalnych informacji na temat sposobu postrzegania Niemców przez uczniów w wieku 10-17 lat. Niektóre z nich wydały mi się oczywiste, inne mnie zaskoczyły. Dziwi na przykład fakt, że większości ankietowanych Niemcy kojarzyła się z piłką nożną (ta odpowiedź pojawiała się u przedstawicieli obu płci). Sądzę, że wpływ na to mógł mieć fakt, iż w Chróścicach wiele osób interesuje się tym sportem, a zwłaszcza rozgrywkami na najwyższym poziomie, jakie miały miejsce m. in. podczas mistrzostw świata w Niemczech w 2006 roku. Często w telewizji możemy zobaczyć mecze z udziałem Niemców czy Polaków. Związana jest z tym pewna cecha Ślązaków ukazująca, jak zręcznie potrafią manipulować swoją tożsamością narodową. Ich maksymą jest obstawanie po stronie silniejszych, którymi w sportowej rywalizacji są niewątpliwie Niemcy. Stąd też nikogo już nie zaskoczy widok niemieckich flag zatkniętych na dachach wielu chróścickich domów w czasie emisji meczu Polska–Niemcy. W moim domu zawieszono dwie flagi – niemiecką, bo tak chciał tata i polską, której żądał mój siedmioletni brat kibicujący Polakom. Inne skojarzenia to pienią-

dze, sklepy, zabawki, czyli elementy wskazujące na dobrobyt panujący w Niemczech.

Pojawiają się nawiązania do cech Niemców, których ankietowani chwalili za precyzję, otwartość, a potępiali za nadpobudliwość i głupotę (wskazanie aż trzech osób, z których dwie użyły niecen-

zuralnych określeń). Tylko jedna osoba wskazała na II wojnę światową, co pozwala stwierdzić, że młodzież chróścicka jest pozbawiona historycznie uwarunkowanych uprzedzeń. Część podała jako skojarzenie rodzinę, inni język niemiecki, który w mojej miejscowości nie jest szczególnie popu-

# Dwutygodnik

# Gazeta

# Górnośląska

ISSN 0867-5236

Nr 6 (45) 16-31.03.1992 r. Cena 1000 zł

## Napisali: „DKF Ruthenau grüßt den Kanzler”

# Ludzie spod transparentu

W plebiscycie w 1921 r. za Polską było ponad osiemset mieszkańców Chróścic (za Niemcami ponad 1700), w 1992 r. — mówią chróściczanie — już tylko jeden, prezes Gminnej Spółdzielni, Arnold Kokot, który chodzi po sklepach i zrywa ogłoszenia DFK. Ekspedientkom grozi potrąceniem premii.

Z Chróścic pochodzi słynna rodzina Kośnych, wielkich polskich działaczy narodowych. W szkolnych podręcznikach podają, że Augustyn Kośny został zamordowany w Berlinie przez hitlerowską bojówkę.

Tuż za miedzą, między Brzeziem a Borkami, ruszy wkrótce największa w Europie Elektrownia Opole. Stoją już hotele robotnicze, buduje się osiedla domków jednorodzinnych. Napływ przybyszów z głębi Polski radykalnie zmieni stosunki narodowościowe w regionie. Trudno zatem powiedzieć, czy rodzina

Kośnych, bojowników o polskość Śląska, przegrała, czy wygrała swą walkę. J

\* \* \*

Przewodniczącym Koła TSK MN w Chróścicach jest Gothard Sochor, właściciel fermy kur. Ojciec Gotharda przed wojną posiadał tartak, w którym zatrudniał 5-6 robotników z Polski. Przyjeżdżali spod Wielunia. Wtedy w Chróścicach byli Niemcy i tak jak dzisiaj do Nie-

(Dokończenie na str. 4)

### Losy Ślązaków (3)

## Na specjalnych papierach

— Hartschädel! — ryknął na Alberta trzaskając drzwiami urzędnik Jahn z Anmeldung. Kiernia czwarty raz na przestrze ni miesiąca zgłaszał się tutaj z papierami meldunkowymi. Chciał wreszcie zakończyć ten cały cyrk rejestracyjny, sprowadzić na stałe do Monachium czekającą w Opolu żonę z dwojgiem dzieci i zacząć normalnie żyć.

Jahn się upierał: — Sie haben immer alles nicht im Ordnung, wie der Türke!

Kiernia zbladł i rzucił: — Was bitte? Ich bin ein Türke? Ich bin Deutscher! Mein Vater hat

(Dokończenie na str. 5)





Kartki z kalendarza

## 670 lat temu Polska przestała być włodarzem Śląska

1335 r. król Polski Kazimierz III w Trenoywie zwał się powie  
czasu Śląsk

**Dopiero po zbudowaniu potęgi przemysłowej tej krainy Polska zaważyła o nią.**

Inkorporacja Śląska przez Karola IV, króla czeskiego, nastąpiła 7 kwietnia 1348 roku, ale wcześniej, w 1335 roku, król Polski Kazimierz III w Trenoywie zwał się powie Śląsk, co zostało ostatecznie potwierdzone układem w 1339 roku, a także przez jego następcę, Ludwika Węgierskiego, w 1372 roku.

W XIII i XIV wieku, księstwami śląskimi w większości rządzili Piastowie. Mieli powiązania i wpływy na dworach czeskich, polskich, niemieckich, austriackich. Wiek wcześniej zaczyna się zasiedlanie Śląska przez Niemców. Na gruncie prawa magdeburckiego do życia

powołuje się setki miast i wsi. Wznosi się wspaniałe budowle sakralne, w pałacach i zamkach kwitnie życie kulturalne (wymienimy przykładowo olbrzymią bibliotekę klasztorną w Zaganiu z pierwszoplanowymi księgozbiorem i bibliotekami do odtwarzania utworów muzycznych dla szerokiej publiczności).

Czaszy Habsburgów na Śląsku to okres reformacji, kontrreformacji, renesansu i baroku. Chociaż to czasy niespokojnej kultury, zwłaszcza muzyka, kwitnie. Po 1741 roku Śląsk stopniowo przechodzi w ręce Prus. Kraina dalej targana jest wojnami, mimo to zaczyna się dwustuletni okres wielkiego rozwoju przemysłu w regionach, gdzie w ziemi leży węgiel, ruda żelaza, cynk, ołów. W innych miejscach powstają zręby przemysłu kruszywa, dzięki bogactwu surowców – granitu, kaolinu, bazaltu. Buduje się

linie kolejowe. Breslau na mapie Prus uchodzi za największy po Berlinie ośrodek naukowo-artystyczny. Po zakończeniu I pierwszej wojny światowej rozpoczyna się walka o Śląsk, która dla wielu trwa do dzisiaj...

W or 670 Jahren endete Polens Herrschaft über Schlesien. Erst nach dem Aufbau der Großindustrie begannen Polen um dieses Gebiet zu kämpfen. Die Einverleibung Schlesiens durch Karl IV., König von Böhmen, erfolgte am 7. April 1348. Zuvor aber, im Jahre 1335, verzichtete der polnische König Kasimir der Große in Trentschin für immer und ewig auf Schlesien, was letztendlich durch ein Abkommen aus dem Jahre 1339 sowie durch seinen Nachfolger Ludwig den Großen 1372 bestätigt wurde.

Im 13. und 14. Jahrhundert wurden die schlesischen Fürstentümer meist durch die Piasten regiert. Sie hatten Verbindungen zu den böhmischen, polnischen, deutschen und österreichischen Höfen und übten an diesen einen gewissen Einfluss aus. Ein Jahrhundert zuvor beginnt die Besiedelung Schlesiens durch die Deutschen. Auf Grundlage des Magdeburger Rechts werden hunderte Städte und Dörfer gegründet. Es werden prachitvolle sakrale Bauwerke errichtet, in den Palästen und Schlössern gedeiht das kulturelle Leben (zu nennen wäre hier beispielsweise die riesige Klosterbibliothek in Sagan samt der ersten deutschen Orgel, die zur Wiedergabe von musikalischen Werken für ein breites Publikum diene).

Die Zeit der Habsburger bedeutete in Schlesien eine Epoche der Reformatio-

Gegenreformation, Renaissance und des Barock. Obgleich die Zeiten unruhig sind, blühen damals die Kultur und insbesondere die Musik auf. Nach 1741 geht Schlesien allmählich in preußische Hand über. Obwohl das Gebiet weiterhin von Kriegen heimgesucht wird, beginnt eine 200-jährige Periode, in der eine große industrielle Entwicklung in denjenigen Regionen stattfindet, wo in der Erde Kohle, Eisenerze, Zink und Blei lagern. Woanders nimmt die Industrie der Zuschlagstoffe wie Granit, Kaolin und Basalt ihren Anfang. Es werden Eisenbahnstrecken gebaut. Breslau gilt in Preußen als das größte wissenschaftlich-künstlerische Zentrum nach Berlin.

Nach Ende des I. Weltkrieges beginnt der Kampf um Schlesien, der für viele bis heute andauert...

SW

larny i stanowi domenę rodzin zaangażowanych w pracę DFK bądź posiadających niemiecką rodzinę. Mowa ta zachowała się przede wszystkim w pamięci starszych mieszkańców Chróścic, którzy nie pałają chęcią przekazania jej w spadku młodszym

pokoleniom. Moi dziadkowie nie znają jej wcale. Najczęściej znajomość tego języka nabywa się poprzez oglądanie niemieckich bajek i reality-show. Są one dużo popularniejsze od filmów, czy starych niemieckich piosenek, których słuchanie stopniowo staje się coraz większym obciachem.

Kolejne pytania, jakie zadałam, dotyczyły stosunku do Niemców. Aby uzyskać dużą przejrzystość zestawienia, zaproponowałam aż pięć możliwych odpowiedzi i przedstawiłam wyniki na wykresach z uwzględnieniem podziału na płeć i wiek. Tym sposobem ustaliłam, że co trzecia pytana osoba lubi Niemców, z czego w większości są to dziewczynki i uczniowie szkoły podstawowej. Zapewne jest to związane z posiadaniem niemieckiej rodziny, wykazującej się zwykle dużą hojnością pod względem finansowym. Skrajnie negatywne opinie o zachodnich sąsiadach mają dwie osoby powyżej 13 roku życia. Wiele osób (9) deklaruje obojętność w stosunku do nich. Są to głównie gimnazjalistki. Zauważyłam ponadto, że dziewczyny częściej od chłopców zajmują w sprawie Niemców pośrednie stanowisko. U chłopaków nie kryjących swych uprzedzeń do zachodniej narodowości jest ono bardziej sprecyzowane. Jednocześnie więcej uczniów niż uczennic wyraża podziw dla Niemców.

Język niemiecki jest moją mową ojczystą – tak przynajmniej zanotowano na moim świadectwie ukończenia gimnazjum. Podobny wpis znalazł się w aktach wszystkich osób, które uczęszczały do klasy dwujęzycznej w chróścickiej szkole. Pamiętam, że wtedy wydało się to zabawne: w końcu zdecydowałam się na taką właśnie klasę, bo z dwóch, jakie miałam do wyboru ta była na wyższym poziomie. Teraz specjalnie wybrałam takie liceum, aby już nigdy nie mieć styczności z tym skomplikowanym językiem, którego nigdy nie zdołam się nauczyć. Ciągłe większość uczniów publicznego gimnazjum w Chróścicach, mimo że nie przepada za językiem niemieckim, decyduje się na profil rozszerzony. Co prawda wiele osób (w tym ja) cieszy fakt, że wspomniane rozszerzenie jest raczej formalne i nauczyciele na lekcjach rzadko się do niego odnoszą, jednocześnie zapewniając wyższy niż w równoległych klasach poziom nauki podstawowych przedmiotów. Dlatego nigdy nie żałowałam swego wyboru. W gorszej sytuacji jest moja siostra, która w przyszłym roku będzie zdawała





Auftritt des Chores aus Rodenau beim DFK-Rutenau.

Foto: DFK-Rutenau

### DFK Rutenau: „Haltet der Heimat die Treue“

Unter diesem Motto stand am 26. August das erste große DFK-Treffen in Rutenau bei Oppeln. Der große Feuerwehrraum war überfüllt. Mehr als 600 Landsleute waren gekommen. Es war der erste deutsche Heimatnachmittag in Rutenau seit 45 Jahren. Musikalisch umrahmt wurde die Veranstaltung durch ausgezeichnete Beiträge des 35 Personen umfassenden Chores aus Rodenau unter Leitung von Engelbert Lucia sowie der 20köpfigen Blaskapelle von Herrn Kruppa. Der örtliche DFK-Vorsitzende Gotthard Sochor und sein Stellvertreter Alfons Gandyrn konnten als Ehrengäste Johann Kroll, Bezirksvorsitzender der Sozial-Kulturellen Gesellschaft der deutschen Minderheit im Opperler Schlesien, Richard Urban, Bezirksvorstandsmitglied und Thomas Cichon, Vorsitzender des Schlesi-schen Bauernvereins sowie Herrn Gwieszda aus Szozodrzik und Josef Matuschek aus Tarnau begrüßen. Aus den umliegenden Dörfern waren alle DFK-Vorstände gekommen. Der Feuerwehrraum war mit deutschen Fahnen, deutschen Beschilderungen, Plakaten und

Sprüchen geschmückt. Es wurden gemeinsam deutsche Volkslieder gesungen und kräftig geschunkelt. Trotz des hohen Alters (79 Jahre), trug Frau Pishik selbstverfaßte deutsche Gedichte vor. Besonderen Beifall erhielten auch unsere Kinder im Alter von 5 bis 15 Jahren (Martin Koschny, Eva Lempart, Irene Słota und Katrin Nogasek-Batamucka) für die von ihnen vorgetragene Gedichte. Erich Kampa berichtete aus der Dorfgeschichte von Rutenau, u.a. auch über die Vergangenheit der Ortsfeuerwehr. Johann Kroll hielt eine Ansprache, worauf die Landsleute in Dankbarkeit das Lied „Hoch soll er leben“ anstimmten. Viele Gäste haben während dieser Feier vor Ergriffenheit geweint. Doch diesmal waren es keine Tränen der Verzweiflung sondern der Freude, Hoffnung und der Heimattreue. Anläßlich des Treffens waren auch über 300 Unterschriften für die BdV-Aktion „Frieden durch freie Abstammung“ gesammelt worden.

Kontaktanschrift: Gotthard Sochor, ul. Młynska 3, 46-080 Curoscice.

egzamin gimnazjalny z języka obcego. Zbyt późno została ona poinformowana, że jako uczennica klasy dwujęzycznej może pisać test wyłącznie w swym ojczystym języku – niemieckim, mimo iż lepiej zna język angielski. Wcześniej pani dyrektor odrzuciła propozycję rady rodziców o wprowadzeniu klasy z rozszerzonym angielskim (domagają się tego także dzieci), a teraz nie pozwoliła uczniom decydować, jaki test chcą napisać. Uważam, że jest to niesprawiedliwe i krzywdzące dla tych, którym zależy na dostaniu się do dobrej szkoły po gimnazjum. Mniej

niż połowa młodzieży jest zadowolona z faktu, iż w tej szkole uczy się języka niemieckiego na wyższym poziomie.

Kim w takim razie jestem? Osobiście nie czuję się Niemką, nigdy nią nie byłam i nie sądzę, bym kiedyś nią została, mimo że posiadam niemieckie obywatelstwo. Nie kuszą mnie także wspaniałe warunki pracy, które rzekomo można tam znaleźć. Tak naprawdę mam z Niemcami bardzo mało wspólnego. Nie znam ich języka, nie słucham niemieckiej muzyki, nie oglądam zachodnich filmów ani programów, nie do

końca zgadzam się z tamtejszym stylem życia. Wydaje mi się natomiast, że posiadam ich pewne cechy charakteru. Chociaż jest to twierdzenie ryzykowne, które taki fanatyk niemieckiej kultury jak mój wujek Jerzy, mógłby z łatwością podważyć. Jestem za młoda, aby odczuwać przywiązanie do niemieckiej ziemi i wspólnotę dziejów. W takim razie za tym, iż nie należę do niemieckiego narodu przemawia u mnie brak trzech najważniejszych czynników narodotwórczych: poczucia wspólnoty języka, terytorium i historii.

A co z poczuciem przynależności do Polski? Moi krewni często wytykają Polakom liczne wady. W rzeczywistości rozgraniczają pojęcie Polski, w której mieszkają i która jest ich państwem oraz Polaków jako zadufanych w sobie, mało pracowitych mieszkańców miast. Jednocześnie tworzą mit Niemca – idealnego obywatela i człowieka pracy. Tak naprawdę nie są ani jednym ani drugim. Są Ślązakami, w których naturze nie leży niemiecka idealność i polskie lenistwo. W końcu nie mówią po polsku, nie zostali zepsuci przez komunizm, polityka ich bawi bądź denerwuje (choć wykazują aktywność polityczną). W takim razie polski język i wspólne dzieje odpadają. Tylko to terytorium „jakoś tak niefortunnie” znalazło się w polskich granicach, ale to nie przeszkadza im w kultywowaniu własnej kultury. Możemy zadać pytanie, dlaczego w związku z tym wszystkim nie dążą do uzyskania autonomii, czy chociażby podkreślenia swej odrębności przez uzyskanie statusu mniejszości etnicznej? Wynika to z kolejnej cechy Ślązaków, którzy unikają władzy i otwarcie mówią, że nie potrafiliby rządzić jednostką większą niż opolskie samorządy. Sądzę, że w rzeczywistości cenią Polaków za ich zapał, historyczną pychę i walkę o władzę, bo zostają wyręczeni z mieszania się w politykę, historię i wiele innych skomplikowanych dziedzin. Z drugiej strony Ślązacy na „swoim podwórku” zachowują dużą autonomię i wolą nie przysparzać sobie kłopotów planami powrotu Śląska do Niemiec. Największą krzywdę wyrządza im się poprzez zabranianie skarżenia się na rządzących (którymi sami przecież nie chcą być) i postępowania po swojemu na własnym terytorium.

Wywiady, które przeprowadziłam, wyzwoliły w moich rozmówcach wiele (nie zawsze pozytywnych)

emocji. Często wybuchaly kłótnie między moimi krewnymi, którzy starali się sobie nawzajem udowodnić, że mylą się w opiniach. Cierpliwie tłumaczyłam, że interesuje mnie zdanie każdego z osobna. W końcu zmuszona byłam zrezygnować z planów przeprowadzenia dyskusji między członkami rodziny. Nie obyło się jednakże bez pouczeń, jak powinnam pisać, czego nie należy zamieszczać w pracy. Wykorzystałam to jako dodatkowe doświadczenia. Jedynie rozmowa z Teresą Janecko pozostała przepelniona licznymi niedopowiedzeniami, tajemnicami, których ciocia nie chciała mi zdradzić, twierdząc że panują zbyt duże uprzedzenia Polaków względem Ślązaków. Okazało się też, że jej relacja wydarzeń II wojny światowej widzianych z perspektywy mojego zmarłego dziadka była całkiem inna od tego, co mówiła mi wcześniej mama. Bardzo mnie to wszystko zaintrygowało i mam nadzieję w przyszłości dowiedzieć się czegoś więcej o tych sprawach.

W Niemczech byłam dwa razy. Na początku podniekcytowana czekałam na wyjazd. W drodze, na autostradzie od razu przykuł moją uwagę wszechobecny porządek, komfort jazdy i spotykane na każdym kilometrze olbrzymie wiatraki wykorzystywane do pozyskiwania energii wtórnej. Spędziliśmy tydzień w uporządkowanym, pięknym domu znajomej, gdzie każdy przedmiot miał swoje określone miejsce, goście sprząтали ze stołu, a niepracująca pani domu poświęcała całe dnie na rozrywkę. Miała tylko jedną córkę, z którą nie wiązała jej jakaś szczególna więź. Dziewczyna była w moim wieku, cieszyła się z naszego przyjazdu, bo w okolicy nie mieszkali jej rówieśnicy. W niedzielę nikt z nas nawet nie zapytał, gdzie jest kościół. Idylliczne życie? W drodze powrotnej czekałam już tylko na przekroczenie granicy znudzona jednostajną, trójpasmową autostradą, jednakowym widokiem po obu stronach jezdni. Tęskniłam za polskimi „dziurami” i naszym nie zawsze idealnie czystym domem. Pomyślałam wtedy, iż mimo że Niemcy posiadają wiele zalet takich, jak uporządkowanie, schludność, rozrywkowość, przebojowość, to życie, które prowadzą, jest pozbawione wyrzeczeń, w wyniku czego staje się nudne. Uznałam, że cieszę się z tego, iż mieszkam w Polsce i odczuwam potrzebę bycia aktywną politycznie (moja niemiecka koleżanka nie wiedziała, kim jest Angela Merkel), aby kontrolować nie zawsze odpo-

wiedzialne poczynania polityków. Mimo że czuję się mieszkanką Śląska, mam wrażenie, iż odnajdę się w polskich realiach pracy i będą mogła wykorzystać niemieckie cechy, aby zmieniać, ulepszać Polskę, ale jednocześnie pozostawić ją naturalną z jej odwiecznymi społecznymi, politycznymi i gospodarczymi problemami.

Myślę, że zdołałam udowodnić podaną na początku tezę, iż Ślązacy to w istocie obywatele Polski, krytyczni wobec własnego kraju, dążący do niemieckiego ideału.

<sup>1</sup> Nyss J. H., *Dlaczego boję się Niemców na Śląsku*, „Gazeta Górnos Śląska” (0867-5236) z dnia 1.03.1993, ss. 1.

<sup>2</sup> <http://www.haus.pl/pl/pdf/pub1/11.pdf> 3 -aneks

AGATA ŁYSAKOWSKA

## Heimat – moja mała ojczyzna

W 1945 roku Szczecin po raz kolejny znalazł się „na zakręcie historii”. Najpierw na konferencji w Jaćcie ustalono rekompensatę dla Polski za utracone Kresy Wschodnie i podjęto decyzję o transferze ludności pomiędzy państwami. Kilka miesięcy później na konferencji w Poczdamie Józef Stalin, Harry Trumann i Clement R. Attlee zgodnie postanowili, że nim dojdzie do ostatecznego określenia zachodnich granic Polski, niemieckie obszary leżące na wschód od linii wzdłuż rzeki Odry i Nysy Łużyckiej powinny znajdować się pod zarządem państwa polskiego. Wprawdzie ostateczna decyzja w kwestii granicy miała zapaść na konferencji pokojowej, do której nie doszło, bo rozpoczęła się „zimna wojna”, ale i tak rozpoczęto wówczas „wielką wędrówkę ludów”. Polacy z utraconych terenów na wschodzie przyjeżdżali na Ziemię Odzyskane i zamieszkali w gospodarstwach opuszczonych przez dotychczasowych gospodarzy. Od dawna trwa dyskusja, które „wypędzenie” jest bardziej niesprawiedliwe, komu należą się odszkodowania i pomniki.

Zgadzam się z opiniami, że akcje przesiedleńcze ludności w latach 1939-1948 odbywały się w różnych realiach historycznych, lecz jestem też zdania, że cierpienia ludności cywilnej są porównywalne. Owszem, Niemcy przesiedlani po II wojnie światowej mieli prawo zabrać swój dobytek, ale i tak w opuszczonych domach musieli zostawić znaczną część życiowego dorobku. Porzucili meble, książki, ulubione miejsca w parkach i cmentarze. W mieszkaniu, które zajęli moi

pradziadkowie w 1945 roku, było prawie wszystko, co niezbędne do normalnego życia: pościel, garnki, sztucce, a nawet bawarska porcelana. Moja babcia, która urodziła się pod Grodnem, po dzień dzisiejszy podczas uroczystego obiadu stawia na stole starą poniemiecką wagę. Może tam, w domku w Poniemuniu nad Niemnem, też ktoś używa ich rodzinnej zastawy?

Bywały też sytuacje, że Polacy znali ludzi, których miejsca zajmowali. Kiedyś koleżanka opowiadała mi, że jej dziadek, który osiedlił się w miejscowości Groß Schönfeld (przemianowanej na Żarczyn), przez parę dni mieszkał w domu z Niemcem czekającym na transport do ojczyzny. Obaj wiedzieli, że historia bardzo ich skrzywdziła, więc nawet nie okazywali sobie wrogości. Nigdy też ten Niemiec nie przyjechał w odwiedziny. Za to do wsi Lubiechów Dolny (niemiecka nazwa Nieder-Lubbichow) w roku 1962 przyjechała pani Nickel z mężem. Zarówno podczas pierwszej jak i następnych wizyt Niemka nie wykazywała większego zainteresowania budynkami gospodarczymi, mówiąc, że to wszystko wygląda zupełnie inaczej, ale za każdym razem wzruszała się na widok pieca znajdującego się w największym pokoju. Rzeczywiście był to niezwykle okazały element wyposażenia i dopiero pod koniec lat osiemdziesiątych obecni właściciele zdecydowali się go zburzyć i zainstalować centralne ogrzewanie. Trochę się martwili, jak odbierze to pani Nickel, ale ona nigdy się już potem nie pojawiła. Najprawdopodobniej ta schorowana



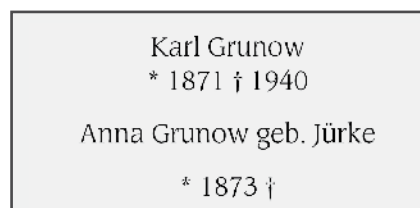
kobieta doszła do kresu swoich dni, ale trudno jest mi oprzeć się myśli, że w jakiś metafizyczny sposób odczuła stratę ostatniego elementu łączącego ją z rodzinnym domem.

Niemcy ze wschodnich obszarów byłej III Rzeszy po drugiej wojnie światowej utracili ziemie, domy, rzeczy. Obywatele Rzeczypospolitej (zarówno w województwach zachodnich jak i wschodnich) w trakcie wojny oraz po jej zakończeniu także zostali tego pozbawieni. I jednym i drugim pozostały wspomnienia, nieliczne pamiątki oraz nadzieje, że gdzieś daleko znajdują nowe domy i będą mogli dalej żyć w spokoju. Skoro więc władze i obywatele Polski przez kilkanaście lat toczyły batalię o Cmentarz Orłąt Lwowskich i z takim pietyzmem odnoszą się do wileńskiego Cmentarza na Rossie, to dlaczego mielibyśmy mieć za złe Niemcom to, że chcą pamiętać o swoich nekropoliach? W tym samym czasie, gdy trwały rozmowy polsko-ukraińskie na temat rekonstrukcji zdewastowanych grobów i pomników na Łyczakowie, ja bawiłam się w piaskownicy, która była obudowana kamiennymi płytami nagrobnymi z gotyckimi napisami. Podobne tafle można było spotkać w murkach okalających posesje przy ulicy Czorsztyńskiej (przedwojenna Strasburger Str.).

Skąd lokalni inwestorzy mogli brać taki budulec? niemal zewsząd. Do 1945 roku na terenie mojego rodzinnego miasta było 89 miejsc wiecznego spoczynku. Ich powojenne losy były różne, najczęściej jednak niewesołe. Jako przykład może służyć cmentarz przy Smutnej - nazwa ulicy jest bardzo adekwatna do wyglądu tego miejsca. Kiedy powstał w latach osiemdziesiątych XIX wieku, nawet nie należał do Stettina, tylko do Hökendorfu (wtedy była to oddzielna wieś, teraz stanowi dzielnicę o nazwie Klęskowo). Funkcjonował zaledwie 40 lat. Po II wojnie światowej był nie tylko zaniedbany, ale przede wszystkim zdewastowany. Po latach zainteresowali się nim społecznicy, skupieni wokół Portalu Miłośników Prawobrzeżna: czyścili nagrobki, karczowali krzaki, starali się odtworzyć dawny układ cmentarza. Pomagali też uczniowie pobliskiego Gimnazjum nr 29. Niestety, okazało się, że jest to teren prywatny, bo miasto w 2005 roku wydzierżawiło go inwestorowi. Mimo że w umowie człowiek ten zobowiązał się do zabezpieczenia terenu, wandy niezbym przejmują się tym zapisem i regularnie niszczą cmentarz. Mamy

tu więc do czynienia z jednej strony ze złą decyzją władz samorządowych i barbarzyństwem lokalnych chuliganów, a z drugiej – ze wspaniałą lokalną inicjatywą. Niestety, takich miejsc jest w naszym mieście dużo więcej. Na zdewastowanym cmentarzu komunalnym przy ulicy Ostrowskiej zachował się betonowy pomnik z wypisanymi nazwiskami mieszkańców ówczesnej wsi Żelechowa (Züllhow), którzy polegli na frontach I wojny światowej, natomiast w trawie leży sporo pomników, na których można odczytać imiona i nazwiska, daty urodzin i śmierci.

Nad jednym z nagrobków warto chwilę się zatrzymać. Widniej na nim napis:



Karl Grunow przeżył 69 lat, zmarł podczas wojny i pochowany został na lokalnym cmentarzu. Jego żona z pewnością chciała spocząć u jego boku – tak się jednak nie stało. Może przeżyła wojnę i musiała wyruszyć w długi marsz na zachód? Jeżeli tak, to dokąd dotarła? Miałby wtedy 72 lata. Może gdzieś spoczywa bezimiennie, choć tutaj właśnie jest jej miejsce?

Cmentarzem zainteresowała się młodzież z Gimnazjum nr 18 w ramach projektu Centrum Edukacji Obywatelskiej pod nazwą „Ślady przeszłości – uczniowie adoptują zabytki”. Przygotowali zdjęcia i dokumentację. Chcieliby, aby ten obiekt został otoczony opieką, ale zaniepokoił ich los podobnego terenu. Na niewielkiej skarpie przy ul Wapiennej do roku 1939 funkcjonował cmentarz komunalny wsi Warszewo – obecnie coraz bardziej ekskluzywnej dzielnicy Szczecina. Jeszcze w latach 1946-48 pochowano na nim kilkunastu Polaków. W ubiegłym roku teren ten został oddany do użytku mieszkańcom jako park i plac zabaw. Owszem - odnowiono kaplicę, w której zgromadzone zostały najlepiej zachowane nagrobki. Uwzględniono także ekshumację i przeniesienie czterech polskich grobów – uczyniono tak na wniosek rodzin. A co z pozostałymi szczątkami?

Można więc wysnuć z tego wniosek, że to właśnie młodzież dąży do tego, by przywrócono szacunek dla symboli przeszłości naszego miasta i jego miesz-

kańców. Są przeciwni zakładaniu placów zabaw na grobach i wykorzystywaniu płyt nagrobnych do budowy murów.

Jaśniejszym punktem na tej smutnej mapie cmentarzy szczecińskich może być Stettiner Hauptfriedhof, czyli Cmentarz Centralny. Pozwolę sobie zacytować wstęp autora wspomnianej książki pt. „100 lat Cmentarza Centralnego w Szczecinie. Pomnik historii miasta”. Jerzy Hohl pisze:

„Cmentarz Centralny w Szczecinie od ponad stu lat wpisany jest w krajobraz miasta. Jest żywym śladem, jaki pozostawiły po sobie kolejne pokolenia szczecinian.

Każdy grób, pomnik, obelisk, stela, płyta nagrobna skrywają prochy umarłych, którzy poświęcili temu miastu część swego życia. Przechadzając się ścieżkami cmentarza, mijamy dziesiątki grobów z umieszczonymi nazwiskami osób, których życiorysy złożone w całość są zapisem powojennej i współczesnej kroniki Szczecina. Jest dzisiaj takim miejscem, gdzie z zapisanych w kamieniu symboli poznajemy historię i korzenie miasta, losy jego mieszkańców i naszą kulturę”.

Zupełnie niedawno pozbierano zalegające w trawach porzucone niemieckie nagrobki, posągi oraz płyty i stworzono lapidarium, które nie tylko stało się pokłonem dla przeszłości, ale jednocześnie świadectwem naszej europejskości. Znalazł się tam także zrekonstruowany nagrobek wybitnego nadburmistrza Szczecina - Hermanna Hakena i jego żony. Dzięki współpracy Stowarzyszenia na rzecz Cmentarza Centralnego w Szczecinie z grupą dawnych niemieckich mieszkańców naszego miasta, który wsparli te



Zaniedbany teren byłego zakładu Bethanien. Gdzieś tutaj spoczywają szczątki Johannesesa i Martina Quistorpów.

inicjatywę finansowo, odbył się symboliczny pogrzeb zmarłych, podczas którego mogliśmy złożyć hołd twórcy nowoczesnego miasta.

Niemców, dzięki którym współcześni szczecinianie mogą być dumni ze swojego miasta, jest niezliczona ilość. Niestety zdecydowana większość z nas nie wie, że to miejski radca budowlany, Wilhelm Meyer-Schwartau, jest autorem koncepcji układu przestrzennego Cmentarza Centralnego i Hakenterrasse, czyli obecnych Wałów Chrobrego. Jego nagrobek jest odrestaurowany i otoczony należną opieką. Nie miał tyle szczęścia Johannes Quistorp i jego syn Martin, fundatorzy kompleksu Bethanien, w którym zakonnicie prowadziły szpital, dom starców oraz sierotnieniec. Także tereny dzisiejszego Parku Kasprowicza w całości należały do Johannesesa, który postanowił przekazać ziemię miastu, z zastrzeżeniem, że mają na niej powstać tereny rekreacyjne dla mieszkańców Szczecina. Wprawdzie nie dożył rozkwitu Quistorp Park (dzisiejszy Park Kasprowicza), ale dzieła dokończył jego syn - Martin. Zasadzono tam wiele rzadkich odmian drzew (między innymi platany) i krzewów, wytyczono alejki spacerowe, stworzono punkty widokowe, altany, trasy do jazdy konnej, tor saneczkowy, a nad Westend-See (dziś jezioro Rusałka) wybudowano mostki. Dziś, choć znane jest miejsce pochówku tych wspomnianych ludzi, nie ma nawet nagrobka lub pomnika.

Historia Szczecina zatoczyła wielkie koło. Już nie jesteśmy straszeni rewizjonistami zza Odry, którzy tylko czekają, by zabrać nam nasze „ziemie odzyskane”. W dodatku okazało się, że po wejściu do Unii Europejskiej to właśnie Polacy zaczęli kupować domy i ziemię na zachód od Odry. Owszem, co pewien czas możemy usłyszeć głos jakiegoś „patrioty”, dla którego pamięć o niemieckim Szczecinie jest czymś złym. Kilka lat temu przedstawiciel rady osiedla Świerczewo próbował protestować przeciwko nadaniu jednemu z rond imienia Hermanna Hakena, ale nie uzyskał większego poparcia.

Jestem zdania, że trzeba pamiętać o niemieckiej przeszłości na ziemiach włączonych do Polski w 1945 roku. Przez dziesiątki lat próbowano odebrać mojemu miastu jego historię, a hasło „myśmy tu nie przyszli, myśmy tu wrócili” było chwytem propagandowym zachęcającym do poszukiwania jego polskich korzeni. Szukając tego, co tak naprawdę nie istniało, grzebano





Jasne Błonia (d. Quistorp Park).

to, co najcenniejsze. Zniszczono bądź rozszabrowano dzieła sztuki, przedmioty użytku codziennego, wyposażenia mniejszych i większych zakładów produkcyjnych. Mimo takich działań, władzom nie do końca udało się „wypłenić” niemieckość z tych terenów. Musieliby zburzyć najpiękniejsze budowle mojego miasta, wyciąć najwspanialsze okazy roślin, zasypać najszersze aleje i ulice. Gdyby tak się stało, to z czego ja – rodowita szczecinianka w drugim pokoleniu - mogłabym być dumna? Teraz szczycę się tym, że mieszkam niedaleko dawnego Quistorp Park, moi pradziadkowie spoczywają na Stettiner Hauptfriedhof, a mój dziadek pracował w firmie, która była spadkobiercą stoczni Vulcan, budującej pod koniec XIX wieku najbardziej imponujące statki świata – transatlantyki. Te konstrukcje wielokrotnie

zdoływały Błękitną Wstęgę Atlantyku i były synonimem luksusu do tego stopnia, że stały się inspiracją między innymi dla budowniczych słynnego „Titanica”. No i chodzę do najstarszego na świecie czynnego kina, które liczy sobie 100 lat.

Skoro Szczecin tak wiele zawdzięcza Niemcom, to naturalnym jest, że mogą, a nawet powinni oni uczestniczyć w pielęgnowaniu miejsc pamięci. Ich wspomnienia, zdjęcia, dokumenty oraz fundusze mogą się przyczynić do odtworzenia dawnego, wspaniałego charakteru naszego miasta. Tym bardziej że sami Niemcy potrafili uszanować ślady przynależności tego obszaru do innego państwa. W 1660 roku król Karol XI, na pamiątkę bohaterskiej obrony przed wojskami brandenburskimi szwedzkiego wówczas Szczecina, dodał do jego herbu dwa lwy podtrzy-

Odnaleziony po wielu latach i odnowiony grób rodziny Meyer-Schwartau. Obok wybitnego architekta spoczywa tu jego żona oraz syn, który poległ w bitwie pod Verdun w 1916 roku.







Kaplica cmentarna – jedno z wielkich dzieł Wilhelma Meyer-Schwartaua.

mujące z obu stron głowę gryfa z koroną. Niemcy zachowali ten wizerunek i można go zobaczyć na wielu ważnych budynkach stawianych jeszcze w XX wieku – choćby na Nowym Ratuszu, budynku Muzeum Narodowego (dawniej Miejskiego), czy gmachu dawnej Politechniki.

Przykłady dobrych praktyk w kwestii wspólnego zmagania się przeszłością, teraźniejszością oraz przyszłością zauważyć można w różnych regionach naszych państw. Fundacja na Rzecz Współpracy Polsko-Niemieckiej, której celem jest między innymi działanie na rzecz zachowania dziedzictwa kulturo-

wego, współfinansowała budowę Domu Darmstadt, który jest integralną częścią Płockiego Ośrodka Kultury i Sztuki. Powstał z inicjatywy szachistów i ma na celu propagowanie kultury niemieckiej w Polsce oraz współpracę z miastami partnerskimi, nie tylko w Niemczech. Na siedzibę wybrano dawny „Hotel de Berlin”, w którym na początku XIX wieku mieszkał Ernst Theodor Amadeus Hoffmann - pisarz, poeta i rysownik epoki romantyzmu, znany jako autor bajki „Dziadek do orzechów”.

Innym przykładem twórczej ingerencji naszych zachodnich sąsiadów może być działalność Narodowego



Lapidarium na Cmentarzu Centralnym w Szczecinie.

Związku Opieki nad Grobami Wojennymi, który wraz z polską Fundacją „Pamięć” zajmuje się ekshumacją i przenoszeniem na cmentarze wojenne szczątków żołnierzy niemieckich poległych na obszarze naszego państwa. Koszt budowy tych cmentarzy, ekshumacji i pochówków pokrywa strona niemiecka. Dzięki tej współpracy niedaleko Szczecina został utworzony Cmentarz Wojenny Żołnierzy Niemieckich w Glinnej. Jego oficjalne otwarcie nastąpiło 15 lipca 2006 roku, choć już wcześniej, bo w 2000 roku szczątki żołnierzy niemieckich poległych podczas II wojny światowej zostały przeniesione tam z Cmentarza Centralnego. Pochowano już tam ok. 10 tys. doczesnych szczątków żołnierzy niemieckich i kilkaset osób cywilnych, a cały cmentarz może pomieścić ponad 32 tys. pochówków. Mamy więc w pobliżu oficjalnie niemiecką nekropolię – czy naprawdę w jakikolwiek sposób może to naruszyć nasze poczucie sprawiedliwości dziejowej? Nie sądzę. Jestem pewna, że dzięki temu jest łatwiej mówić o jakimkolwiek porozumieniu i pojednaniu. Jako gospodarze tych ziem to my powinniśmy dbać o zabytki, które tu pozostały, ale jestem zdania, że wkład finansowy Niemców w ochronę grobów i pomników nie powinien być odrzucony. Nie chodzi mi tylko o względy ekonomiczne, ale także moralne – jeżeli chcą i mają możliwości, by nam pomóc ratować pamięć – niech to czynią.

Mamy często do czynienia z tak zwaną inicjatywą oddolną. W 2004 roku powstał Portal Miłośników Dawnego Szczecina Sedina.pl, który miał być miejscem wirtualnych spotkań ludzi zainteresowanych historią miasta. Po jego uruchomieniu okazało się, że grono osób tych osób jest bardzo liczne i obejmuje sympatyków nie tylko z naszego miasta, ale także z różnych zakątków Polski i świata. Można w nim znaleźć blisko 2300 opublikowanych artykułów opisujących burzliwe dzieje miasta, galerię ponad 20 000 fotografii dawnego Szczecina oraz burzliwe forum dyskusyjne, w którym poruszane są najróżniejsze zagadnienia. Nigdy jednak nie trafiłam na posty, które mogłyby zmienić moją pozytywną opinię na temat niemieckich śladów przeszłości w moim mieście. W folderze „Szczecinianie” opisani są z jednakową sympatią tacy ludzie, jak pastor Eberhard Baumann, przemysłowiec Friedrich Wilhelm Grobel, pisarka Nina Rydzewska, czy aktorka Stanisława Engelowna. Zresztą sama nazwa portalu też ma za



Zrekonstruowany nagrobek Hermanna Hakena.



Nagrobek z cmentarza przy ul. Ostrowskiej.



zadanie jednoczyć byłych i obecnych szczecinian – jest uniwersalna, łatwa do zaakceptowania zarówno przez Niemców, jak i Polaków. Miłość do rodzinnego miasta i szacunek do jego historii plus siła Internetu doprowadziły do sytuacji, że nie liczy się obywatelstwo czy narodowość.

W Cedyni (do 1945 roku Zehden), polskim mieście najdalej wysuniętym na zachód, jest poniemiecki cmentarz, na którym w 1949 roku pochowana została prababcia moich kuzynek. Kilka lat temu rodzina postanowiła przenieść jej szczątki do części nowszej, więc przeprowadzono ekshumację, w trakcie której okazało się, że wydobyto kości dwóch osób. Ponieważ nie można było ich rozdzielić, wspólnie przełożono je do nowej trumny i ponownie pochowano. Myślę, że taki związek Polki-repatriantki z Kazachstanu z mieszkańcem Zehden może być symbolem szczególnych więzi, które wytworzyły się na tych ziemiach przez ostatnie kilkadziesiąt lat. Jest faktem, że niemiecki Heimat stał się naszą „małą ojczyzną”.

Na zakończenie pragnę po raz kolejny podkreślić, że nie mamy żadnego moralnego prawa do zacierania

niemieckiej przeszłości na ziemiach polskich – tak samo, jak pragniemy, by polskie ślady pozostały na dawnych Kresach. Powinniśmy wspierać zainteresowanie naszych zachodnich sąsiadów ich miejscami pamięci, bo nasi bliscy i znajomi też wspominają Górę Bony w Krzemieńcu i Ostrą Bramę w Wilnie. We Lwowie działa Zakład Narodowy im. Ossolińskich, a w Szklarskiej Porębie jest Muzeum Miejskie „Dom Gerharta Hauptmanna”. W Nysie upamiętnia się pamięć Konrada Blocha, Środa Śląska szczyli się tym, że w 1943 roku urodził się tam Klaus von Klitzing, Walther Hermann Nernst ma swoją pamiątkową tablicę w Wąbrzeźnie, a Otton Stern w Żorach. Ci niemieccy naukowcy zdobyli Nagrody Nobla w różnych dziedzinach, ale dumni z nich mogą być też współcześni Polacy mieszkający w tych miastach.

Myślę, że dziś stosunki polsko-niemieckie na tyle się znormalizowały, że warto podkreślać specyficzne dzieje naszego regionu, tym bardziej, że przyniosło nam to wielkie korzyści – zyskaliśmy nową historię nie tracąc własnej.

KAROL STOLARSKI

## Miejsce ważne dla Niemców

„Był cmentarz. Nie ma cmentarza.

Tu przyspieszono zmartwychwstanie ciał”

*Tadeusz Sierej*

Historia stosunków polsko-niemieckich sięga okresu średniowiecza. Z lekcji historii wiem, że już w chwili tworzenia się państwa polskiego sąsiedzi niemieccy najeżdżali ziemie polskie. Stosunki polsko-niemieckie od samego początku układały się różnie, raz lepiej, raz gorzej. Niemcy kojarzeni są przez Polaków raczej jako wrogowie i nieprzychylnie nastawieni do Polaków. Mój dziadek, który pamięta czasy wojny, wypowiada się o Niemcach negatywnie jako o narodzie. Jaki jest mój obraz, sam nie wiem. Pamiętam z zajęć historii, że stosunek Niemców do Polaków

w różnych okresach historycznych nie był dobry – najpierw przygraniczne wojny z Niemcami, potem okres germanizacji, dwie wojny światowe. Wydaje mi się, że nie można wymazać z pamięci takiej historii. Nawet nie wolno nam o takich losach państwa polskiego zapominać. Faktów historycznych nie da się zmienić. Przeszłości tej nie należy zacierać, ponieważ kolejne pokolenia nie mogą poznawać zafałszowanej historii, poznawać tylko te „miłe” fakty. Trzeba znać wszystkie najważniejsze wydarzenia z dziejów własnej ojczyzny. Jednak nie wolno zapominać, że wojna dawno już zakończyła się. Starsi ludzie na pewno będą pamiętać do końca swoich dni o przeżyciach wojennych, często bardzo tragicznych i niech tak zostanie. Oni zostali bardzo skrzywdzeni przez państwo niemieckie



– w obozach ginęły całe rodziny. Ale młode pokolenia nie powinny uprzedzać się do Niemców i powinny traktować ich jak każdy inny naród w Europie. Jesteśmy członkiem Unii Europejskiej i dlatego jako Polacy nie możemy okazywać swojej niechęci Niemcom, czy innym narodom.

Stosunek Niemców do Polaków powinien być podobny – bez uprzedzeń. Tymczasem słyszy się w telewizji, czyta w prasie o Związku Wypędzonych z E. Steinbach na czele. Związek ten według mnie nastawia część społeczeństwa niemieckiego negatywnie do Polski. Polacy też są skupieni w różnych związkach i organizacjach. Od wielu lat działa Stowarzyszenie Urodzonych w Niewoli Niemieckiej, którego członkiem jest moja sąsiadka. Pisząc tę pracę udałem się do niej z pytaniem, o czym rozmawiają na swoich spotkaniach i odpowiedź bardzo mnie zdziwiła. Okazało się, że stowarzyszenie to podejmuje różne formy pomocy dla osób poszkodowanych przez III Rzeszę. Na zebraniach prezesa poszczególnych oddziałów informują o działaniach podejmowanych przez państwo polskie, o formach rekompensaty finansowej dla osób poszkodowanych. Podczas spotkań zawiązały się liczne przyjaźnie. Ludzie pomagają sobie nawzajem, wymieniają się informacjami na temat dobrych lekarzy, udzielają różnej pomocy, nierzadko materialnej. Moja rozmówczyni nic nie wspominała o krytyce obecnych władz niemieckich, czy czegokolwiek związanego z sytuacją polityczną Niemiec. I jest to uważam budujące. Ludzie spotykają się, żeby nawzajem wspierać, a nie budzić agresję i niechęć do innego narodu. Bardzo mi się podoba taka postawa.

Stosunek Niemców do własnych miejsc pamięci jest zróżnicowany. Mieszkam od urodzenia na ulicy Cmentarnej, sąsiadującej z cmentarzem katolickim, obok którego znajduje się cmentarz ewangelicki. Jak byłem młodszy, to nieraz widziałem odwiedzających groby na cmentarzu niemieckim ludzi. Poznawałem, że to Niemcy lub osoby z nimi spokrewnione po rejestracjach zaparkowanych tuż pod moim domem samochodów i po mowie niemieckiej. Teraz rzadko widzę odwiedzających a sam cmentarz przypomina już tylko zbiorowisko elementów cmentarnych, poza kilkoma zadbanymi grobami.

Cmentarze to miejsca szczególne. Symbolizują trwanie i przemijanie, świadczą o kulturze społeczeństw i narodów. Cmentarze ewangelickie na

terenie byłego woj. wrocławskiego stanowią obecnie liczną grupę – 76, i choć z reguły już nieczynne i najczęściej fragmentarycznie tylko zachowane, mają one szczególne znaczenie jako świadectwo przeszłego osadnictwa, współkształtującego niegdyś krajobraz kulturowy tych ziem. Spotykamy je na terenie całego województwa. Protestanci osiedlali się na tych terenach w okresie od XVII do końca XIX w. Początkowo tereny przy Wiśle zasiedlali olędrzy, przybysze z Niderlandów i Fryzji. W pocz. XVIII w. sieć osadnicza wzbogacona została przez napływ osadników z terenów Niemiec. W końcu XVIII i początku XIX w. powstały liczne osady na niezagospodarowanych dotychczas terenach leśnych (Rumunki), a także pierwsze zbory protestanckie.

Pierwszą parafię zorganizowano w 1793 r. w Biało-wieżynie koło Lipna. Jej duszpasterzem został ks. Gotlieb Maske. W sześć lat później siedzibą parafii zostało Lipno. W 1806 r. postawiono drewniany kościół, a w 1869 r. w jego miejsce kościół murowany. Parafia rozrastała się i w 1838 r. liczyła 16 tysięcy wierznych, jej duszpasterzem był Jan Pastenacci. Kres rozwojowi parafii położyła hitlerowska napaść na Polskę w 1939 r. Po zakończeniu wojny duża część ludności pochodzenia niemieckiego opuściła Lipno i sąsiednie miejscowości. Obecnie w parafii w każdą niedzielę i święta odprawiane są nabożeństwa. Kuratorem parafii jest pani Hanna Sobańska. Obecnie na Ziemi Dobrzyńskiej wyznawcy tego kościoła skupieni są we Włocławku, w Rypinie i w Lipnie. Do nieruchomości parafii w Lipnie należy cmentarz i stojący na nim budynek mieszkalny.

Z najwcześniejszego okresu osadnictwa nie zachował się w Lipnie cmentarz. Być może znalazł się w miejscu cmentarza obecnego. Nie wiadomo. Pewne jest natomiast, że obecny cmentarz ewangelicki pochodzi z 1802 r. i jest najstarszym cmentarzem ewangelickim w byłym województwie wrocławskim. Lipnowski cmentarz jest niewielkim założeniem – ok. 0,8 ha o obrysie prostokąta. Pierwotnie dostosowany był do konfiguracji terenu, nie miał trwałego ogrodzenia. Obecnie całość jest otoczona: od strony południowej siatką, od strony zachodniej murem, który sąsiaduje z cmentarzem parafialnym katolickim, od strony wschodniej granicą jest dopływ rzeki Mień a od północy jest parkan graniczący z terenem Zespołu Szkół Technicznych w Lipnie.

Kwatera żołnierzy niemieckich, którzy polegli w 1915 r.



Rozplanowanie cmentarza jest bardzo skromne. Zwykła, prosta, piaszczysta ścieżka wiedzie do centralnego miejsca cmentarza. Najczęściej spotykaną formą upamiętniającą mogiły są płyty nagrobne lub skromne w formie nagrobki cokołowe, wykonywane przeważnie z cementu, a także żeliwne krzyże z kratami. Skromność nagrobków ewangelickich wynikała zarówno z założeń wyznania, jak i z niewielkiego raczej zróżnicowania zamożności osadników. Znajdują się również nagrobki bardziej okazałe, kamienne

z elementami rzeźbiarskimi oraz nagrobki o przedstawieniach figuralnych, należące raczej do rzadkości na cmentarzach w byłym woj. wrocławskim. Najstarsze nagrobki pochodzą z II poł. XIX wieku. Na cmentarzu nie ma kaplicy. Jedynym obiektem architektonicznym w obrębie cmentarza jest dom dozorczy.

Po zakończeniu II wojny światowej cmentarz uległ stopniowemu zniszczeniu. Jest bardzo zaniedbany. W niczym nie przypomina miejsca pochówku wiernych, chociaż nadal jest miejscem pochówku członków lipnowskiej gminy ewangelickiej. Lipnowski cmentarz należy do grupy 4 cmentarzy (Chodecz, Rypin, Izbica Kujawska i Lipno), zachowanych w pełnym swym założeniu.

Obecnie cmentarz ewangelicki w Lipnie znajduje się w stanie skrajnej dewastacji. Nie ma śladu po wcześniejszych alejkach. Z setek nagrobków pozostało niewiele, w większości przemieszczonych i poprzewracanych. Z powodu dużej dewastacji trudno jest ustalić orientacyjną liczbę grobów. Metalowych ogrodzeń, kutych lub z elementów blaszanych zachowało się zaledwie kilka. Spośród nich interesujące wydają się pozostałości dwóch zniszczonych ogrodzeń, których kapryśne linie prętów i stylizowanych, równoległe unerwionych liści stanowią echo wzorów sztuki secesyjnej.

Najstarsze nagrobki wykonane są głównie z piaskowca lub betonu, te z granitu lub marmuru już dawno „przydały się komuś”. Prawie też nie ma krzyży żeliwnych, które łatwo ulegały zniszczeniu, no i można je było oddać na złom. Na cmentarzu przeważają proste nagrobne stele, skromnie przyozdobione symbolami religijnymi, kwiatami, czy



wieńcami. Ale jest też kilka nagrobków, które zachwycają swoim pięknem.

Pozostałe niezniszczone jeszcze pomniki są przykładem niezwykłych zdolności tworzących je kamieniarzy. Pomniki oplecione są charakterystycznymi liśćmi dębu. Jeden z grobów to miejsce pochówku małżonków Ferdynanda i Emilie Musalff z początku XX wieku. Podstawa nagrobka również czworokątna a na niej wyrzeźbione kamienne elementy roślinne, liście dębu i chyba gałązka palmowa po prawej stronie. Szkoda tylko, że wandalami zniszczyli przepięknie ozdobiony krzyż zwieńczający nagrobek. Leży on tuż przy grobie. Na krzyżu jest widoczna przymocowana kotwica za pomocą grubego wyrzeźbionego sznura oraz kilka liści dębowych. Nie wyobrażam sobie, jak można było zniszczyć tak piękny nagrobek. Leżący krzyż jest nie do podniesienia. A jednak ktoś go odebrał. Na nagrobku, w górnej części, pozostał jedynie metalowy element całej konstrukcji nagrobka. Część nagrobków jest anonimowa, gdyż tablice umarłych nie przetrwały.

Bardzo cennym elementem cmentarza są dziesiątki starych drzew – buków, świerków, modrzewi, brzoź i innych okazałych gatunków. Wiosną kwitną tu przebiśniegi.

Do powszechnego w obrazie cmentarza zaniedbania i śladów wandalizmu dołączyło ostatnio częściowe rozkopywanie grobów, kradzież elementów metalowych i żelaznych, okropne zaśmiecenie terenu. Pełno tu papierów, puszek, różnych butelek. Cmentarz przypomina wysypisko śmieci.

Oprócz grobów osób cywilnych we wschodniej części cmentarza znajduje się kwatery żołnierzy niemieckich pochowanych w czasie I wojny światowej. Jest to jedyne miejsce zadbane. Szczątki żołnierzy umieszczono symbolicznie w półkolu. Nagrobki znajdujące się tutaj są niewielkich rozmiarów, mają postać płasko leżących betonowych steli z umieszczonymi na wierzchu tablicami imiennymi. Jest ich 19. Jedna stela znajduje się pośrodku z napisem: „R.I.P. IM KAMPFE FÜR IHR VATERLAND FIELEN UND RUHEN HIER, 16 DEUTSCHE TAPFERE, 1914 – 1915.” Z napisu wynika, że jest to grób zbiorowy, w którym spoczywają szczątki 16 żołnierzy niemieckich.

Kilka razy do roku młodzież z Zespołu Szkół Technicznych w Lipnie skupiona w Szkolnym Kole Historycznym bierze udział w porządkowaniu cmen-



Pozostałości nagrobka Ferdynanda i Emilie Musalff



tarza. Prace polegają na zebraniu papierów, butelek, porządkowaniu grobów.

Nie pierwszy to przykład, że młodzież opiekuje się grobami. W Lipnie to uczniowie Zespołu Szkół Technicznych, gdzie indziej uczniowie innych szkół. Ten sposób ratowania zapomnianych cmentarzy należałoby rozpropagować specjalnym apelem do wszystkich szkół w naszym kraju. Akcja taka, prowadzona przez miejscowych działaczy, mogłaby przynieść ocalenie wielu setkom cmentarzy, a młodzieży dać dobrą lekcję wychowania historycznego i patriotycznego. Ale czy tylko młodzież ma zajmować się niszczącymi zabytkami?

Ludności pochodzenia niemieckiego w Lipnie jest niewiele. Są to przede wszystkim ludzie starzy i schorowani, często mieszkający samotnie. Do takich osób należy pani L. S., zamieszkała w Lipnie na ulicy Żeromskiego. Myślę, że trudno byłoby porządkować im ciągle cały teren cmentarza. Trudno w takim wypadku o radosną refleksję.

Kto wobec tego powinien zająć się tym cmentarzem? Myślę, że pomoc niemiecka w tym wypadku przydałaby się. Władze samorządowe nie zawsze posiadają fundusze na renowację cmentarzy i te niezbadane przez nikogo po prostu niszczej. Takie wspólne działanie przyniosłoby widoczne efekty.

Cmentarzy wojennych z okresu I i II wojny światowej i grobów ludności cywilnej nic nie ochroni przed zniszczeniem. Wydaje mi się, że cały czas funkcjonuje „stereotyp Niemca, jako wroga narodu polskiego”. Znając historię stosunków polsko-niemieckich można by wysnuć podobne wnioski. Uważam, że nie powinno się tego traktować w kategorii Polak-Niemiec. Należy patrzeć na to szerszej, mając na uwadze ochronę tych grobów jako miejscowych zabytków XIX-wiecznych i wojennych. Wśród dzieci i młodzieży w szkole należy wykształcać przekonanie o konieczności ochrony wszystkich dóbr kultury, w tym cmentarzy. Czas oraz często ludzkie zdziczenie prowadzi do nieodwracalnej zagłady cmentarzy, czego mamy przykład w wypadku cmentarza ewangelickiego w Lipnie. Nie ma do kogo apelować o opiekę nad cmentarzami. Mam wrażenie, że miejscowi gospodarze terenu i władze wojewódzkie nie interesują się tym problemem. Na placu boju pozostaje grupa ludzi, którzy z własnej woli i pasji dokumentują przetrwałe jeszcze cmentarze, dokonując ich pomiarów, zdjęć i opisów, by przynajmniej to,

co jeszcze pozostało, zachować już tylko na papierze. Na temat opisywanego cmentarza nie natrafiłem na żadne opracowania w literaturze przedmiotu. Miałem problemy z dotarciem do osób, posiadających wiedzę na ten temat.

Trudno jest patrzeć na niszczące nagrobki. Te najbardziej zdewastowane, właściwie fragmenty nagrobków, można by zebrać i umieścić w jednym miejscu tworząc swoiste lapidarium pamięci. Dobrze prezentowałyby się wokół dowolnie wybranego drzewa. Elementy nagrobków tak zgromadzone należałoby odrestaurować przy pomocy konserwatora zabytków. Następnie można by zorganizować uroczystość otwarcia lapidarium z udziałem miejscowych władz. Przy lapidarium mogłaby znaleźć się tablica o przybliżonej treści: „Zbiór ocalałych elementów grobów niemieckich będących świadectwem ciągłości wspólnego polsko-niemieckiego dziedzictwa kulturowego”. Myślę, że wówczas cmentarz lepiej by się prezentował niż porośnięty wysokimi krzewami i trawą.

Perspektywa najbliższych lat dla lipnowskiego cmentarza ewangelickiego rysuje się równie ciemno, jak okres miniony. Mamy tu do czynienia nie tylko z kompletną dewastacją terenu o pewnych walorach zabytkowych i krajobrazowych, ale również z oburzającym naruszeniem zasad szacunku należącym zmarłym.

Początek wiersza znajdujący się w nagłówku na temat jednego ze zdewastowanych cmentarzy tak opisał Tadeusz Kierej, doskonale ujmując proces niszczenia cmentarzy. Aby w Lipnie nie „przyspieszono zmartwychwstanie ciał”, aby nasz krajobraz kulturowy nie został pozbawiony jednego ze swoich podstawowych elementów – należy dbać o cmentarze i podejmować różne akcje.

W Polsce jest wiele miejsc już tylko symbolizujących jej niedawny skład narodowościowy, które bezpowrotnie giną na naszych oczach. Historia cywilizacji, jej wymiar i nakazy uczą, aby ze wszech miar chronić jej wielkie narodowe dziedzictwo, jakim jest kultura. Ideowe opcje, dzieje stosunków między narodami, odmienne religie czy wreszcie koniunktura polityczna nie mogą stanowić kryteriów zachowania niepodzielnego dobra człowieka, jakim są zabytki przeszłości. Do nich należą również cmentarze i niemieckie, i żydowskie, i innych mniejszości narodowych.



Wręczenie nagród laureatom konkursu „Polacy, Niemcy – wczoraj, dziś, jutro”; od lewej: Krystyna Szelągowska, Agata Łysakowska, Witold Olejnik



Laureaci konkursu „Polacy, Niemcy – wczoraj, dziś, jutro”; od lewej: Maciej Skoczylas, Joanna Oborska, Patrycja Góra, Simona Kociok



Laureaci konkursu „Polacy, Niemcy – wczoraj, dziś, jutro”; od lewej: Ewa Pelc, Sławomira Grzęda





Gala finałowa konkursu „Polacy, Niemcy – wczoraj, dziś, jutro”